

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 25-go sierpnia 1945r.

Rok VII. Nr. 34

PRÓBA WYTRZYMAŁOŚCI

Skończyła się wojna, jej pożar dogasa już nawet na najdalszych frontach, ale Polskie Siły Zbrojne poza Krajem są pod nieustannym ostrzałem propagandy. Nie ma dnia, nie ma tygodnia, żeby ktoś nie kierował do nas jakiejś odezwą, apelu. Z zadziwiającą gorliwością ciągle gada ktoś o nas w radio. Brakuje papieru, ale idzie na nas zalew ulotkowej agitacji. Koledzy w obozach jeńceńskich piszą do nas ze skargami, że nie dostają "Polski Walczącej", ale za to masami... "Czechosłowaka" z wkładką drukowaną po polsku z niepolskiego natchnienia — o niepolkich sprawach.

Cała ta nerwowa ruchliwość, kosztowna bardzo w energii, czasie i pieniądzu służy przekonaniu żołnierzy polskich na obczyźnie do sprawy, co do której są oddawna, od początku i do dziś niezmiennie jednego zdania: że winni wrócić do Polski. Przecież po to wyszliśmy z Kraju, aby wywalczyć drogę do niego. Przecież po to złożyliśmy tyle ofiar, przelali tyle krwi, przetestowali tyle lat, wytrzymywali tyle klęsk i taki ciężar obcości, żeby sobie zapracować na godny powrót do swoich i wolne życie w Ojczyźnie.

Jeśli tak jest, a tak jest na pewno, bo nie może być inaczej — cała ta nerwowość propagandowa ma inną przyczynę i inny cel na widoku. Nikt by nie tracił czasu i nie trwonil środków nato, aby doprowadzić rzeczy oczywistej, przekonując kogoś o czymś, co jest jasne jak słońce.

Demaskuje tę całą robotę sama rzeczywistość. Z Polską nie ma żadnej komunikacji prócz szczupłej komunikacji powietrznej, która służy wyłącznie propagandyście i kandydatom do posad. Prez. Truman w przemówieniu po zjeździe poczdamskim oświadczył, że na wschód od linii Curzona znajdują się trzy miliony Polaków, ale nie słysząc, aby jechali na zachód. Wysiedleńcom polskim w Niemczech jest już wiadomo, że nikt im nie zaproponuje powrotu, nie zdoła zapewnić możliwości powrotu przed wiosną przyszłego roku. Tylko z nami jest ten pośpiech. Tylko my żołnierze — wedle wezwań i odezw — jeszcze dziś mamy oddać się pod rozkazy rządu tymczasowego, a już jutro wyjechać do Polski.

Mógłby kto powiedzieć, że ta szczególna troska i to uprzywilejowanie — jest dla nas pochwalebne. W każdym razie może to lepsze, niż zwracanie się do nas jednego dnia przez: "bohaterowie", i wyzywanie następnego dnia od — "faszystów", "sługusów reakcyjnej kliki" i t.d. Wszystko razem: te przesłanki od gróźb zamknięcia drogi do ojczyzny i obłudnych pochlebstw do prób zastraszenia do nadużywania drogich nam słów i prawd — wszystko to zdradza aż nazbyt jawnie, że komuś nie dogadza nasza tutaj obecność, nasza postawa, nasza żołnierska karność.

Trzeba otwarcie stwierdzić: nie chodzi o nasz powrót, bo nie ma

w tej chwili rzeczywistych możliwości powrotu, co stwierdzają nawet pisma oddane duszą i ciałem nowemu porządkowi. Nie chodzi o powrót dziesiątków tysięcy żołnierzy, gdy nie wróciły jeszcze i nie wracają ze Wschodu i Zachodu setki tysięcy i miliony wygnanców, deportowanych, wysiedlonych. Chodzi o coś innego: o rozbicie, o zniesienie siły, którą stanowią. Pod wielkimi słowami i zakłeciami kryje się gra, aby rozsadzić ten organizm, który tworzymy, aby nas zamienić w bezładną, bezradną trzodę i potem przeganiać, sortować, wywozić, jak i gdzie się komu będzie podobało. O to chodzi, co się już stało z Armią Krajową, której bohaterscy żołnierze przepadli w czeluściach Rosji, gniją w więzieniach albo gryzą ziemię. Chodzi o to, aby nas nie było.

A my, jesteśmy żołnierzami, jesteśmy żołnierzami Rzeczy-

pospolitej od lat sześciu. Stanowimy jedną żołnierską rodzinę, na której nie ma plamy. Stanowimy Siły Zbrojne, które spełniły przyjęty obowiązek wobec Kraju i wobec sprzymierzeńców, które się biły, ponosiły nieuniknione klęski i odnosiły zwycięstwa głośne na cały świat. Stanowimy Siły Zbrojne, które w ciągu minionych lat, śmiertelnie groźnych i oszalamiających wielkością wydarzeń nigdy nikogo nie zdradziły. I dlatego dziś nie zdradzą siebie samych.

Nasze stanowisko jest jasne. Jesteśmy w zgodzie z sumieniem, z obowiązkiem żołnierskim, z interesem naszego Kraju, nawet z decyzjami Wielkich Mocarstw, gdy chcemy wytrwać w wierności złożonej przysiędze, aż do chwili "wolnych i nieskrępowanych" wyborów. Jeśli w nich swobodnie przejawia się wola naszego narodu, jeśli dojdzie do głosu i będzie uszanowana wola polska, a ustanie

przemoc obca, jeśli legalny Przedstawiciel Rzeczypospolitej przekazuje swe uprawnienia władzy czerpiącej swój tytuł z woli Narodu, z woli polskiej — otworzy się dla nas droga upragnionego powrotu. Nie trzeba będzie wtedy kosztownej propagandy, apelów, ulotek, nawet "Czechosłowaka". Wrócimy do Polski bez jego zachęty. Wrócimy do Polski wszyscy razem, jako żołnierze, aby wszyscy razem stać się jej budowniczymi.

Dobrze by było, gdyby przestano odwoływać się do naszego obywatelskiego sumienia. Ono jest spokojne. Jest spokojniejsze, niż kiedykolwiek, bo my dobrze wiemy, że od naszej postawy, od naszej wytrwałości w dużym stopniu zależy, czy, kiedy i jakie będą wybory w Polsce, czy i kiedy przemówi ona swoim głosem.

Dobrze by było, gdyby zaniechano udzielania nam nauk patriotyzmu. Składaliśmy jego świadectwa

przez tyle lat i podpisywaliśmy je krwią.

Dobrze by było, gdyby dano pokój nadużywaniu słów. Wiemy, że składaliśmy przysięgę ojczyźnie, ale wiemy też, co to jest ojczyzna. Wiemy, że to jest ziemia i niebo, ludzie i niepodległe objawiająca się wola ludzi do wspólnego życia na tej ziemi i pod tym niebem.

Stwierdzono już na tych łamach, że daremne są próby wbijania klinów w spoiwą całość Sił Zbrojnych, bezcelowe jest sianie nieufności, podburzanie jednych przeciw drugim, żołnierzy przeciw dowódcom. Właśnie te zabiegi obnażają prawdziwą twarz tej propagandy służącej jednemu tylko dążeniu, abyśmy przestali istnieć tu i gdziekolwiek, żebyśmy przestali domagać się uczciwości, sprawiedliwości dla Kraju i dla siebie. Żebyśmy splamili nieskalane imię polskiego żołnierza gorszącym widowiskiem, jakie dają tylko bardzo nieliczne na szczęście jednostki, oraz pewne uprzywilejowane organy prasowe.

Jesteśmy pewni, że stanowisko Polskich Sił Zbrojnych poza Krajem będzie uszanowane przez tych, którzy są zdolni i powołani, aby je ocenić. Jesteśmy pewni, że zrozumieją je gospodarze tego kraju, że oni, którzy tę wojnę wygrali nie opuszczają nas, którzyśmy ją przegrali — w tej najcięższej chwili naszej wojennej tułaczki. Nasze dzisiejsze stanowisko jest tym samym stanowiskiem wiernego dotrzymywania przyjętych zobowiązań, które nas sprowadziło na te wyspy pięć lat temu, kaźło na nich wytrwać, podzielić dole i niedole, walkę, klęski i zwycięstwa.

Nie uogólniamy, nie przenosimy na naród angielski brzydkich, nieraz odstręczających odprysków propagandy likwidacyjnej, jakie się zdarzają w niektórych pismach angielskich. Oszczerstwa i oczerniania podsuwają te same usta, które jednocześnie zwracają się do nas jako do "bohaterów", które nas zaklinają w imię najświętszych prawd.

Chcemy wobec tego wszystkiego zachować spokój pełen godności, spokój żołnierzy godnych swego Kraju, jego tragedii i straszliwej niedoli, spokój ludzi o czystym sumieniu. Pojmujemy ten czas, który nas dzieli od wyborów w Polsce, jako próbę wytrzymania nerwów i charakterów. Mamy takich prób — zwycięsko przetrzymanych — w ciągu lat nie jedną, ani nie dwie. Była taką próbą walka osłona Dywizji Grenadierów w kampanii francuskiej, oblężenie Tobruku, bitwa o Monte Cassino, Falaise i Chambois, Powstanie Warszawskie, które przetrwało dziesięć razy dłużej, niż było zamierzone, niż można było u jego początku założyć.

Przeżywamy próbę wytrzymania. Przebedziemy ją tak, jak liczne kryzysy walki dopiero co zakończonych. Znamy te kryzysy. Nauczyliśmy się, jak panować nad sobą dla ostatecznego zwycięstwa.

ALEKSANDER JANOWSKI

ANDRZEJ WART: Lotnik polski /litografia/



PO KAPITULACJI JAPONII

Oczy świata w dalszym ciągu zwrócone są ku Dalekiemu Wschodowi. Tam w chwili obecnej rozgrywa się wypadki, które wywrą może rozstrzygający wpływ na dalszy bieg polityki światowej.

Formalności kapitulacyjne z natury rzeczy muszą być na Dalekim Wschodzie powolne. Armia japońska kapitulując będąc wciąż jeszcze wielką, niepokonaną w polu siłą. Kapitułuje wyłącznie na skutek bomby atomowej. Wprawdzie propaganda sowiecka usiłuje wmówić tym wszystkim, którzy znajdują się w jej zasięgu — włącznie z krajami wtłoczonymi do sowieckiej strefy wpływów — że przypisywanie zwycięstwa bombie atomowej jest niemalże "faszystowską intrygą". Japonia skapitulowała, ponieważ Rosja wypowiedziała jej wojnę... Ale oczywiście na świecie nikt tych łamańców propagandowych nie bierze poważnie.

Podczas gdy odbywa się powolnie kapitulacja poszczególnych armii japońskich, czynione są ostatnie przygotowania do okupacji Japonii. Decyzje na ten temat są nader rozsądne — znacznie lepsze, aniżeli w stosunku do Niemiec. Okupacja Japonii będzie wspólna, nie będzie podziału na strefy, jak w Niemczech, tak iż uniknie się wszystkich niefortunnnych skutków takiego podziału. Nie będzie części Japonii, w której sowieckie siły okupacyjne mogłyby przeprowadzać doświadczenia komunistyczne; ma to tym większe znaczenie, że w Japonii komunizm mógłby znaleźć podatny grunt. Wszystkie wojska okupacyjne pozostawać będą pod dowództwem gen. MacArthur'a.

Zgoda inaczej wyglądała sprawa na kontynencie azjatyckim. Odbywa się tam wysięg, czy szereg wysięgów, zmierzających do zajęcia różnych terytoriów, jako że w świetle doświadczeń przeszłości, ten kto jest pierwszy, ma największe szanse pozostania na dobre.

Tak więc Rosjanie pomimo kapitulacji Japonii nie zaprzestali swej ofensywy, która oczywiście była "zwycięska". Chęć oni stworzyć fakty dokonane przez okupację Mandżurii i Korei. Odbywa się także ponoć wysięg pomiędzy Chinami, a Brytyjczykami, kto będzie pierwszy w Hongkongu. Ten port jest kolonią brytyjską, ale Chiny oddawań rozszcza sobie don pretensje jako do miasta chińskiego.

Najgroźniej jednak przedstawia się sprawa w samych Chinach, gdzie wojna domowa wisi na włosku. Armia komunistyczna usiłuje przejąć od Japończyków broń i terytoria. Marsz Cziang-Kai-Szek zakazał dowódcom komunistycznym przyjmowania kapitulacji, stwierdzając, że upoważnieni są do tego jedynie przedstawiciele rządu centralnego, ale komunisty nie stosują się do tego rozkazu. Chiński dyktator komunistyczny Mao-Tse-Tung został za-

proszony do Czongkingu, ale odrzucił zaproszenie. Jasne jest, że nie zamierza wypuścić z rąk atutów, które daje kapitulacja japońska. Jeśli uzyska broń japońską, co mu zrobią siły rządowe?

RÓWNANIE Z WIELU NIEWIADOMYMI

Czy da się uniknąć wojny domowej w Chinach? A w razie gdyby wybuchła, czy Stany Zjednoczone poprą Cziang-Kai-Szeka, a Rosja — komunistów? Czy Chiny staną się nową Hiszpanią?

Tymczasem zbyt wiele jest niewiadomych, by można było snuć jakiekolwiek przewidywania. Największą niewiadomą, która jednak zapewne nie potrwa długo, jest treść traktatu podpisanego przez premiera Chin Soonga w Moskwie. Ma on być ogłoszony niebawem. Jest to ponoć sojusz a zarazem traktat likwidujący wszystkie sprawy sporne pomiędzy obiema krajami. Dopóki treść jego nie jest znana, trudno jest powiedzieć, kto poczynił większe ustępstwa i jakie będą tego konsekwencje. Sam Soong jest niejako "chińskim Mikołajczykiem" i mógł pójść na daleko idące ustępstwa, ale Cziang-Kai-Szek ma ostatnie słowo. Niektórzy sądzą /n.p. "Times" i "Observer"/, że Moskwa mogła "sprzedać" komunistów chińskich w zamian za pozyskanie sobie rządu chińskiego. Moskwa wprawdzie nienawidzi Cziang-Kai-Szeka, którego cała prasa komunistyczna świata nazywa "faszystą", "reakcjonistą" i t.d., ale ostatecznie były już dwa okresy, kiedy nakazała komunistom chińskim podporządkowanie się rządowi centralnemu.

Jednakże postawa komunistów chińskich w chwili obecnej nie wskazuje, by mieli takie rozkazy. Toż wnioski części prasy brytyjskiej wydają się co najmniej przedwczesne.

Niewiadoma jest także przyszła polityka Ameryki wobec Chin. Ustąpienie podsekretarza stanu Grew, który był atakowany przez wszystkich wrogów Chin narodowych, może być oznaką, że Ameryka nie chce udzielać bezwzględnej pomocy Cziang-Kai-Szekowi, bojąc się wojny domowej, do której mogłaby zostać wciągnięta. Trzeba pamiętać, że Soong pojechał do Moskwy z błogosławieństwem St. Zjednoczonych, które bardzo pragnęły jakiegoś porozumienia chińsko-sowieckiego.

Z drugiej strony układ sił w świecie uległ ostatnio całkowitej zmianie przez zakończenie wojny z Japonią i przez bombę atomową. Teraz jeszcze dowódca lotnictwa amerykańskiego ujawnił, że dzięki nowemu bombowcowi o zasięgu 5000 mil Ameryka "dominuje nad całą Azją".

Kto wie czy w tej sytuacji Rosja nie wyrzekła się chwilowo niektórych swych dążeń w Chinach.

Gdy traktat chińsko-sowiecki zostanie ogłoszony uzyskamy chyba odpowiedź na te różne pytania.

AMERYKA I BAŁKANY

Obok grożącej wojny domowej w Chinach na pierwszy plan zainteresowań świata wysuwa się sytuacja w krajach Europy wschodniej i południowo-wschodniej, również często granicząca ze stanem wojny domowej.

Nie ulega już wątpliwości, że dyplomacja amerykańska podjęła energiczną akcję na rzecz zapewnienia demokracji na Bałkanach. W ślad za kategorycznym oświadczeniem prez. Trumana po powrocie z Poczdamu, że kraje Europy południowo-wschodniej "nie mogą być strefą wpływów jednego mocarstwa", przyszyły szybko konkretne posunięcia. Rząd U.S.A. oznajmił, że nie uważa rządu bułgarskiego za reprezentatywny ani wyborów, które mają się odbyć za kilka dni /żądanie opozycji, by je odrzucić zostało odrzucone przez rząd komunistyczny/ — za dające gwarancje swobody. Ameryka nie uzna rządu bułgarskiego i nie zawrze z nim traktatu pokoju.

Jednocześnie stało się wiadome, że Ameryka poruszyła w Poczdamie również sprawę zapewnienia swobód demokratycznych w Jugosławii, gdzie dyktator Tito uprawia politykę komunistycznego terroru. Wobec braku porozumienia w Poczdamie sprawa będzie poruszona na zbliżającym się spotkaniu ministrów spraw zagranicznych pięciu mocarstw.

Powstaje oczywiście pytanie, nas zwłaszcza żywo obchodzące: Dlaczego tyle hałasu o dyktaturę w Jugosławii, o brak demokratycznych swobód w Bułgarii, podczas gdy niczego nie podjęto dla zapewnienia takich samych swobód w Polsce? Wszystko co mówi się i pisze o położeniu w Bułgarii stosuje się w tym samym co najmniej stopniu i do Polski. A przecież demokracje zachodnie mają większe obowiązki wobec nas, narodu sojusznicznego, aniżeli wobec Bułgarii, która była wrogiem Zjednoczonych Narodów.

Trudno zaiste znaleźć wytłumaczenie dla tego paradoksu. Może tu zaważył fakt, że wybory w Bułgarii są pierwszymi w Europie środkowej i wschodniej, i że chodziło o nietolerowanie niebezpiecznego precedensu. Może jednak szukać należy odpowiedzi w okoliczności, że Anglosasi nie uznali nigdy formalnie Bałkanów, a zwłaszcza Jugosławii, za strefę wyłącznych wpływów sowieckich, podczas gdy niestety pogodzili się

w swoim czasie z włączeniem Polski do tej strefy.

W każdym razie powitać należy z zadowoleniem akcję na rzecz obalenia dyktatury komunistycznej na Bałkanach. Albo demokracja zatriumfuje wszędzie w Europie środkowej i wschodniej, albo też totalizm komunistyczny nie tylko utrzyma się w Jugosławii, Rumunii i Bułgarii, ale opanuje także Grecję i inne kraje. Następstwa akcji w stosunku do Bułgarii i Jugosławii muszą więc dać się odczuć również i w Polsce.

LEPIEJ PÓZNO, NIŻ NIGDY

Jakie jest stanowisko brytyjskie w tej sprawie? Rząd Labour Party wypowie się ustami nowego ministra spraw zagranicznych Bevin'a, którego przemówienie programowe będzie znane w chwili, gdy te słowa ukażą się w druku. Tymczasem zaś mamy do zanotowania znamienne przemówienie b. premiera Churchilla, które odbiło się silnym echem w świecie.

W przemówieniu tym było dużo rzeczy, które nas, Polaków, musiały razić. Raziło nas ustosunkowanie się do sprawy granicy zachodniej Polski, nie dlatego, by nie wolno było tej granicy krytykować, ale dlatego, że dziwnie brzmi krytyka tej granicy, jako "złej wroży dla przyszłej mapy Europy" w ustach człowieka, który nie miał zastrzeżeń przeciw potwornej niesprawiedliwości linii Curzona i w ogóle całemu pomysłowi przesunięcia Polski na mapie.

Raziło nas obciążanie narodu polskiego błędami t.zw. rządu tymczasowego przez męża stanu, który ponosi współodpowiedzialność za narzucenie tego rządu narodowi polskiemu — wbrew jego woli. I raziło nas z konieczności litowanie się nad losem Niemców wypędzanych ze swych siedzib, gdy ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane w obronie Polaków, tylekroć deportowanych, przesiedlanych i wypędzanych ze swych odwiecznych siedzib.

Niemniej przeto mowę p. Churchilla powitać należy jako dowód budzenia się społeczeństwa brytyjskiego z dotychczasowych złudzeń. Jakkolwiek uzasadniony mieć możemy żal do b. premiera, to jednak musimy stwierdzić, że zdobył się na niezwykle mocny protest przeciw komunistycznej dyktaturze i policyjnym rządów w Europie środkowej i wschodniej. Korzystając ze swobody, jaka jest udziałem przywódcy opozycji, a zarazem z autorytetu, jaki mu daje dotychczasowa jego rola, Churchill odmalował w całej jasności los narodów strefy sowieckiej, żyjących w strachu przed tajną policją i pozbawionych wszelkich swobód demokratycznych. Mówił o "żelaznej kurtynie" przedzielającej

Europę na dwie części i o tym, że dzieje się za nią tragiczne rzeczy. I nawoływał, by W. Brytania rzuciła swe wpływy na szalę na rzecz prawdziwej demokracji, bezpieczeństwa jednostki i wolnych wyborów — tego wszystkiego, o co walczył rząd polski w Londynie.

Było by zaiste wysoce niepolityczne z naszej strony wytykać b. premierowi, ile w obecnym stanie rzeczy w Europie wschodniej i na Bałkanach jest jego własnej winy i utyskiwać, że jego żale są spóźnione. Przysłowie mówi: lepiej późno, niż nigdy. Nie jest jeszcze z pewnością zapóźno na odrobienie szkód, wyrządzonych przez politykę "niesprzeciwiania się złu", tak długo uprawianą przez demokrację anglosaską.

Trzeba mieć nadzieję, że w trosce o zapewnienie prawdziwej demokracji i położenie kresu nowemu totalizmowi i rządowi policyjnym panoszącym się w Europie wschodniej, rząd Labour Party nie da się uciec konserwatystom. Sprawa prawdziwej demokracji leży Labourystom co najmniej tak samo na sercu jak ich przeciwnikom. Poparcie obiecał zaś przez p. Churchilla imieniem opozycji dla takiej polityki ułatwić jej przeprowadzenie; mieć ona będzie jednomyślne poparcie całego narodu.

TRZY LATA

Zmiana tonu w sprawach bałkańskich niewątpliwie nie jest bez związku z bombą atomową i spowodowanymi przez nią przesunięciami w układzie sił w świecie na korzyść Anglosasów.

W ogóle polityczne następstwa bomby atomowej zaczynają ujawniać się coraz wyraźniej. Brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin stwierdził, że podstawy, na których opiera się organizacja Zjednoczonych Narodów stworzona w San Francisco, są już przestarzałe. Podobny pogląd ma być — wedle korespondenta "Sunday Times" — powszechny w St. Zjednoczonych. Prasa socjalistyczna w W. Brytanii domaga się wręcz całkowitej przebudowy organizacji, stworzenia międzynarodowej strefy, gdzie jedynie produkowana byłaby broń atomowa, zorganizowania ścisłej kontroli tego, co się dzieje w poszczególnych państwach i zniesienia przywilejów, które pod naciskiem Rosji przyniosło wielkim mocarstwom w San Francisco.

Mamy — jak powiedział Churchill — trzy albo cztery lata na całkowitą, a niezbędną przemianę stosunków między ludźmi i narodami. W tym czasie musi powstać prawdziwa organizacja międzynarodowa o parta na zasadach sprawiedliwości, demokracja musi zatriumfować nad totalizmem. Miejmy nadzieję, że interwencja w Bułgarii zapoczątkuje walkę o ten triumf.

Londyn, 19 sierpnia 1945

ALEKSANDER BORAY

JESZCZE NIE KONIEC

Zakończenie Drugiej Wojny Światowej na wodach Japonii bynajmniej nie oznacza zakończenia rozlicznych zadań, które marynarka wojenna wzięła na siebie w tej wojnie. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Polska Marynarka Wojenna pierwsza ze wszystkich sprzymierzonych sił zbrojnych przeciwstawiła się Niemcom i na nią obrócił się pierwszy impet wroga. Ale mało kto wie, że ta marynarka już od marca 1939 roku była w gotowości bojowej i między innymi wykryła koncentrację wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich, dając dokładne dane o transportach idących z zachodu do Prus.

Obecnie wojna dla marynarek sprzymierzonych skończona jest tylko formalnie. Praktycznie biorąc marynarki te są czynne na wszystkich wodach świata — szczególnie zaś na Pacyfiku. Długo jeszcze ich potęga, sprawność i wyposażenie techniczne będą potrzebne, aby zwycięstwo wykorzystać, doprowadzić świat do jakiegoś takiego normalnego pokoju, na i pokój ten zachować.

Niedawno minister marynarki St. Zjednoczonych Ameryki stwierdził, że marynarka amerykańska — dziś najsilniejsza na świecie — pozostanie, aby stać na straży bezpieczeństwa i równowagi politycznej, oraz że gotowa będzie stłumić w zarodku wszelkie poczynania jakiegokolwiek zaborego usposobionego państwa.

Z bieżących zadań marynarki wymienić można wszelkie działania związane z okupacją, z rozbrojeniem przeciwników, z trałowaniem min, z udostępnieniem portów, oraz ze służbą bezpieczeństwa na rozległych wodach świata.

TASK FORCE 58

Słynna "Grupa Uderzeniowa 58" wice-admirała Mitscher'a ma na swoim sumieniu przeważną część obecnego zwycięstwa. Jej lotniskowce i pancerniki odcieły Japonię od kontynentu azjatyckiego, od wysp środkowego i południowego Pacyfiku. Ona to — w związku z III flotą admirała Halsey'a — uitorowała drogę "latającym fortecom" do Okinawy, skąd już można było rzucić na Japonię bomby atomowe. Ona też wywołała zamęt w życiu gospodarczym Japonii i wreszcie przyczyniła się wielce do zniszczenia floty japońskiej.

"Task Force 58" składała się z około 80 lotniskowców różnych typów oraz z ich osłony w postaci pancern-

ników, krążowników i lekkich okrętów eskorty. Rozwinięta na morzu zajmowała przestrzeń 40 mil, a poruszać się mogła z szybkością 30 węzłów /55 km/godz./.

Najciekawsze jednak, że ta olbrzymia siła była zupełnie samowystarczalna o tysiące mil od własnej bazy. Jej okręty zawiązywały do portów tylko w razie ciężkiego uszkodzenia lub okresowego remontu. Natomiast olbrzymi, kilkaset okrętów liczący "tabor", strzeżony przez własną silną eskortę, dostarczał jej amunicji, sprzętu, paliwa, żywności, ludzi i wszelakich zasobów. Specjalne okręty szpitalne i urłopowe krążyły stale między "Task Force 58" i Australią oraz Ameryką. Przelatunek odbywał się w morzu, pod osłoną tej czy innej wysypki, z zachowaniem ścisłej tajemnicy.

W ten sposób Japonia otoczona została szeregiem ruchomych i nieuchwytnych, pływających lotnisk, z których samoloty i wodnosamoloty dokonywały nieznannej w dziejach świata akcji zniszczenia.

NA MORZU CHIŃSKIM

Flota sowiecka Oceanu Spokojnego, złożona z okrętów lekkich, podwodnych oraz licznych wodnosamolotów, wykonała szereg działań na Morzu Chińskim, oraz u brzegów Korei i Japonii Północnej. Zatopiono pewną ilość jednostek pływających nieprzyjaciela, wykonano desant w Korei, ostrzeliwano porty. Wojska japońskie w Mandżurii i północnych Chinach zostały odcięte od metropolii. Sytuacja jest odwrotna niż w latach 1904 — 5, kiedy to panując na tych morzach, Japonia

dyktowała Rosji warunki pokoju.

Jednakże trudno nie stwierdzić, że po zniszczeniu floty japońskiej dzięki działaniom morskimi-lotniczym flot admirałów Nimitz'a i Fraser'a, okręty sowieckie miały przed sobą bardzo łatwe zadanie.

NA BAŁTYKU

Większość portów bałtyckich pod okupacją sowiecką nie jest jeszcze zdolna do użytku. Z Gdyni donoszą, że Niemcy zatopili w samym wejściu do portu wielki okręt, który daremnie usiłowała usunąć rosyjska organizacja morska "Epron". Nie mogą otworzyć wejścia, Rosjanie wysadzili w powietrze część falochronu w pobliżu Oksywi. Mimo to port gdyniński /a także gdański/ dostępny jest tylko dla mniejszych jednostek.

Niebezpieczeństwo min także nie zostało usunięte i jest ich na Bałtyku pełno. Ostatnio wyleciał na minie jeden z przybrzeżnych statków polskich.

Część urządzeń portowych została /w myśl umowy berlińskiej/ przewidziona do Rosji. Te co zostały wymagają forsownego remontu.

BAJKI O ZATOPIONYCH OKRĘTACH

Wielokrotnie zastrzegaliśmy się, że niniejsza kronika nie ma charakteru politycznego. Jednakże z obowiązku dziennikarskiego zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że wiadomość podana przez radio tymczasowego rządu w Warszawie, a powtórzona przez niektóre dzienniki angielskie o "usiłowaniu zatopienia okrętów polskich przez oficerów" — jest cał-

kowiec wyssana z palca.

Jeśli prawda jest, że wiadomość tę podał prasie sam premier "tymczasowego rządu" ob. Osóbka-Morawski, to dodać co najmniej można, że go wprowadzono w błąd oraz że zarówno on sam, jak i jego doradcy bardzo słabo znają się na sprawach marynarki. Poza tym wiadomość była tak zredagowana, że nie wiadomo czy chodziło o marynarkę wojenną czy też handlową.

W każdym razie marynarze na polskich okrętach wojennych wiedzą sami doskonale, że nie było żadnych usiłowań zatopienia. Tym bardziej więc nie mogło być żadnych sprzeciwów ze strony załóg. Wiedzą również, że okręty te są oddawna prawdziwie wolnym terytorium Rzeczypospolitej, nad którym powiewa bandera narodowa, wstawiona w blisko sześcioltnich bojach z nieprzyjacielem. Wiedzą, że okręty walczyły bez przerwy od początku wojny i że pływają dalej, pełniąc odpowiedzialne zadania u boku Royal Navy.

Oczywiście — sama wiadomość ukuła została prawdopodobnie przez kogoś, komu zależało na "wkupieniu się w łaski" i uzyskaniu odpowiedniej "nagrody". Jednak tego typu propaganda z pewnością nie wzbudzi zaufania do ustroju panującego w Polsce: po pierwsze dlatego, bo operuje nieprawdą, po drugie, bo zdradza zupełną nieznajomość spraw morza, marynarki i okrętów.

Jeśli ktoś nie umie odróżnić sztandaru od bandery, a statku handlowego od okrętu wojennego, to lepiej niech zostawi marynarkę w spokoju.

Ukazał się nowy tom biblioteki "Wczoraj i Dziś"

p.t. ŚWIĘTY PŁOMIEŃ

W tomie: — Kazimierz Wierzyński: Duch. — Marian Hemar: Kamień. — Tymon Terlecki: Do emigracji polskiej 1945 roku. — Stanisław Stronicki: O byt, o duszę, o twórczość. — Zygmunt Nowakowski: Der Drang nach Westen. — Maria Danilewiczowa: Człowiek z kurzu. — Jan Papuga: Pole. — Stefania Zahorska: Wyjaski z "Historii Trójimperium" wydanej w r. 2445. — Henryk Tennenbaum: Nawrót ekonomii do humanistyki. — Karol Irzykowski: O "Palubie". — Poezja proletariacka. — Adolf Nowaczyński: Zakończenie "Smoczego gniazda". — Les délices de la campagne. — Miody Wyspiański — Kawiarnia — Z "Meandrów". — Juliusz Kaden-Bandrowski: Mickiewicz wraca do kraju. — Sztuka fortepianowa Chopina — Piłsudski — Zakończenie "Tadeusza".

Okladka Wojciecha Jastrzębowskiiego.

Cena 4s. 6d.

11 ilustracji

Nakładem: J. ROLLS BOOK CO., LTD.

24, St. George Street, Hanover Square, London, W.1

JESZCZE JEDEN

W dniu 17 sierpnia, a więc w 14 tygodni po zawieszeniu działań w Europie, pojawił się na wodach Argentyny niemiecki okręt podwodny "U 977". Okręt wszedł w ujście La Plata i jego załoga /32 ludzi/ poddała się władzom argentyńskim.

Istnieją dane, że okręt ten w maju znajdował się na wodach Norwegii, przyczem 16 marynarzy zeszło na ląd. Reszta postanowiła snąć próbować szczęścia na szerokich wodach. Wyczerpanie zapasów zmusiło ją jednak do zawinięcia do portu.

Dziennikarskie pogłoski jakoby na jednym z okrętów podwodnych znajdował się Hitler nie znalazły dotychczas potwierdzenia. Natomiast jeszcze dwu okrętów podwodnych "brakuje do inwentarza" i los ich jest nieznany.

NIEISTNIEJĄCA FLOTA

Okazuje się, że t.zw. V flota U.S.A. nie istniała. Po prostu III flotę admirała Halsey'a nazywano tak od czasu do czasu, aby wprowadzić Japończyków w błąd.

Rozwiązano dowództwo floty U.S.A. na wodach europejskich. Dowódcą jej — admirał Stark — złożył wizytę pożegnania Szefowi Kierownictwa Polskiej Mar. Woj.

"ADMIRAŁ NORE"

W przedostatniej "Wojnie na Morzu" chochlik korektorski spłatał nam figla. Napisaliśmy "Admirał dowodzący siłami Nore". Zecer angielski coś poplątał. Korektor — w porównaniu do innych pism polskich nadzwyczaj dokładny — poprawił. Ale nie wiedział, że "Nore", to nie nazwisko admirała, ale pojęcie geostateczne — okręgu morskiego. I wyszło: "Admirał Nore — dowodzący siłami..."

Nore jest okręgiem morskim na wschodnim wybrzeżu Anglii. "Siły Nore" należą do obrony ujścia Tamizy i operują na Morzu Północnym.

ANGLIA BUDUJE

W Ameryce wstrzymano budowę przeszło stu okrętów wojennych — dziś już zbędnych, bo straty poniesione w wojnie z Japonią okazały się mniejsze od spodziewanych. Natomiast w Anglii budowa nowych okrętów biegnie normalnie. Pierwszy Lord Admiralicji zapowiedział, że zamówienia udzielone stoczniom nie ulegną żadnej redukcji.

JULIAN GINSBERT

Pierwsze godziny

“TO”

Jest godzina 9-a rano dnia 1-go sierpnia 1944 r. Zgłaszam się do lokalu centralnej poczty organizacyjnej przy Al. Niepodległości i otrzymuję tam zapieczętowaną kopertę zaadresowaną do mojego szefa z napisem “pilne, do rąk własnych”. Nietrudno do myśleć się, że koperta kryje właśnie “to”, na co czekamy już długie dwa tygodnie. Nareszcie.

Był jak najszybciej doręczyć. Ale jak na złość nie ma pod ręką ani “rikszy”, ani dorożki, a na tramwaj czekać nie warto. Prawie biegnę ulicami roztrącając ludzi po drodze. Wpadam do szefa i już na progu krzyczę: — “Dziś!” Szef spogląda mi w oczy porozumiewawczo. Otwiera kopertę i już za chwilę swoim spokojnym i energicznym głosem wydaje rozkazy dotyczące dzisiejszego popołudnia.

OSTATNIE CHWILE KONSPIRACJI

Mam roznieść po mieście kilkadziesiąt rozkazów, wiadomości, poleceń, a czasu już tak mało. Ulicą Grójecką jedzie w kierunku miasta kilkanaście niemieckich czołgów. Przechodzę kilka kroków w kierunku pl. Narutowicza. Na rogu ktoś ostrzega: — “Niech pani nie idzie na pl. Narutowicza: ‘japanka’. Biorą młodych do kopania stanowisk karabinów maszynowych i bunkrów przy koszarach policji” /Dom Akademicki/.

Przez te kilka godzin konspiracji, które jeszcze nam pozostały trzeba być ostrożnym. Było by szczytem pecha “wpaść” w takim momencie, tym bardziej, że różne kompromitujące papiery i papierki nie mieszczą się już w skrytkach mojej torby. Jest ich tyle, że od kilku dni nosimy je zupełnie na wierzchu. To też kołując bocznymi ulicami docieram na lokal gdzie oczekują mnie wszystkie łączniczki Wydziału.

WSRÓD ŁĄCZNICZEK

— “Dziś czy nie?” — pada ze wszystkich stron pytanie. Tak, dziś o godzinie czwartej wszyscy mają być na umówionych lokalach.

W pokoju zawrzało jak w ulu. Wszystkie mówią jednocześnie. Każda układa sobie głośno “plan działania”. Gdzie pójść, kogo zawiadomić, co przygotować, czy aby zdąży się to wszystko zrobić?

Hanka musi jeszcze przewieźć dwa aparaty radiowe z “meliny”, która znajduje się aż na Targowej. A tak trudno o “rikszę”. Ba, nic dziwnego warszawscy “ryksiarze” dawno już się zmobilizowali i siedzą po “melinach”.

Ela opowiada, że właśnie dzisiaj weszła do jakiegoś mieszkania, w którym siedziało około 50 chłopców. Łatwiej było wejść niż wyjść. Nikogo nie chcieli wypuścić, żeby przez gadulstwo wiadomość nie dotarła do “szkopów”. — “Musiałam się długo tłumaczyć — mówi Ela — podałam im prawie cały swój życiorys. Ale dopiero jak im pokazałam ostatni numer “Biuletynu Informacyjnego”, dali się przekonać. Mówię wam wspaniali chłopcy. Jedni czyścili broń, inni rachowali amunicję, sanitariuszki pakowały swoje torby. Nastrój był wspaniały. Nic jeszcze nie wiedzieli, że to już dziś”.

Anna martwi się, że już nie zdąży do domu na Żolibórz. A ma na sobie już tylko te partofelki, które za chwilę rozlecia się w drobny maczek i tę letnią sukieneczkę. Ale “to” i tak nie potrwa pewnie dłużej, niż kilka dni.

Nasza gospodyni, stara przyjaciółka i konspiratorka, u której już tyle spotkań odbyłyśmy, żegna się z nami jak matka. Ma syna w “Kedywie”. Już od dwóch dni nie było go w domu.

POŻEGNANIE

Po zawiadomieniu wszystkich pędzę do domu. Deszcz, który leje od rana, ustaje i zza chmur wychodzi słońce. Warszawa uśmiecha się do nas pogodnie. W domu otwieram skrytki, wyciągam z nich papiery, pieniądze organizacyjne, zabieram broń i owijam ją w chustkę.

Już na progu mimo całego pośpiechu coś mi zatrzymuje. Rzucam spojrzem na to mieszkanie, w którym przeżyłam lata konspiracji. Uświadamiam sobie w tym momencie, że zostawiam za sobą w życiu coś, co już nie wróci. Ile ciężkich a jednak pięknych zara-

zem chwil przeżyłam w tych ścianach.

Tu spotykali się ludzie z mojego zespołu. Tu nieraz szukali i schronienia ci, którzy musieli własne mieszkania opuszczać nagle i nieoczekiwanie.

Ile momentów pełnych napięcia, gdy w nocy lub nad ranem budzi stukot ciężkich butów “szkopskich”, nawoływania w zniechęconym języku, brzęk kluczy dozorczyń. Może do nas, a tu akurat tyle rzeczy leży na wierzchu. Lecz nie. To w oficynie naprzeciwko zapalają się światła w oknach. Słychać łomot, wrzask, jęki i płacz. Później znów odgłos kroków, odjeżdżają auta i znowu cisza zalega. A nad ranem życie toczy się normalnie, tylko w najbliższym sklepiku na rogu sąsiadki podają sobie z ust do ust plotkę. My zaś wiemy tylko jedno, że tej nocy ubył jeden z naszych.

To wszystko teraz zostało już za mną. Już nie wróci.

PODZIEMNA MOBILIZACJA

Idę ulicami miasta, które przeżywa w tej chwili szczególny moment: podziemnej mobilizacji. Mezczyźni i kobiety — żołnierze A.K., którzy za parę godzin staną do walki zmieszani są jeszcze z tłumem cywilów. Lecz wprawne oko może ich już łatwo odróżnić po przyspieszonym kroku, po długich butach z cholewami, pasach, bere-

tach, wiatrówkach, którymi już teraz starają się nadać sobie wygląd zbliżony do żołnierskiego. Znajomi nie przystają jak zwykle, nie rozmawiają ze sobą. Powietrze naładowane elektrycznością jak przed burzą.

Punktualnie o godzinie 16 melduję się na ulicy Boduena. Wchodzę za umówionym hasłem. Wszyscy są już na miejscu. Pięciu chłopaków z “Kedywu” obwieszonych bronią, granatami i “flipinkami” czeka na moment wyjścia na ulicę. Są spokojni i pewni siebie — to weterani. Mają już za sobą niejedną akcję uliczną i to co dziś się stanie nie będzie dla nich pierwszą.

O godzinie pół do piątej narzucają na siebie palta dla ukrycia broni, odbezpieczają “rozpylacze” i wychodzą kolejno co dwie minuty na następny punkt zbiórki. Przechodząc przez Świętokrzyską, słyszymy pojedyncze strzały z pl. Napoleona. Na placu widać grupki Niemców. Plac jest pusty. Czyżby domyślali się czegoś?

GODZINA “O” SIĘ ZBLIŻA

Kamienica, do której wchodzimy jest już “obsadzona”. Dwóch żołnierzy stoi w bramie z bronią. Wpuszczają nas za hasłem. Godzina “O” zbliża się. Ostatnie minuty ciągną się w nieskończoność. Zakładamy naszym żołnierzom opaski biało-czerwone, uszyte i przy-

gotowane na ten moment od dawna.

Punktualnie o godzinie piątej ze wszystkich stron rozlega się kanonada. Co chwila słychać głucho detonacje “flipinek”, serie z “rozpylaczy”. Ulice pustoszeją momentalnie z cywilów. Stają się polem walki.

— “A munieja!” — wołają chłopcy z najbliższego narożnika. Przerzucamy im amunicję, przysługując się wzdłuż murów. Po kilkunastu minutach jest już pierwszy ranny. Niesiemy go do bramy. Na miejscu są już lekarze, którzy dają mu pierwszą pomoc.

DROGA DO UWOLNIONEJ “VICTORII”

Po 20 minutach Niemcy zostali wykurzeni z Hotelu “Victoria” przeznaczanego na kwatery dla generała “Montera”. Mamy się tam przedostać, ale Niemcy ostrzeliwują ulicę z placu Dąbrowskiego. Nawet tych kilkadziesiąt kroków nie sposób przejść ulicą. Idziemy więc przez piwnice domów i przejścia wyrębane w murach. Piwnice są już oświetlone, dozorców domów wskazują drogę w tym podziemnym labiryncie.

W “Victorii” otrzymuję od mego szefa rozkaz pójścia na ulicę Świętokrzyską dla nawiązania łączności z jednym z punktów naszego Wydziału. Wychodzę na ulicę ale już po przejściu dwóch do-

mów żołnierze każą mi zawrócić i iść piwnicami. Ulica jest jeszcze ciągle pod ostrzałem. Właśnie przed chwilą ranili dwóch naszych.

Idę więc piwnicami aż do rogu Świętokrzyskiej i Jasnej. Tu wychodzę na podwórko, gdzie jakiś cywil kieruje “ruchem”. — “Proszę wejść w te drzwi — mówi — o tam na prawo jest bar. Stamtąd jeden ostrożny skok i już pani jest na drugiej stronie ulicy. Ale proszę uważać, bo “szkopy” grzeją jeszcze z Poczty Głównej”.

W barze siedzi kilkunastu cywilów głośno dyskutujących. Na mój widok a raczej na widok czerwono-białej opaski na moim ramieniu, rzuca się w moją stronę kilkanaście osób prosząc o opaskę, bo przecież oni także chcą być żołnierzami. Wskazują mi usłusznie wyjście na ulicę, podnoszą kratę.

W bramie naprzeciwko stoi kilku żołnierzy A.K. z bronią w ręku. Świętokrzyska pusta zupełnie, słychać tylko co chwila bykanie kul i brzęk tłuczonego szkła. W tej chwili pod murem przemknęło się dwóch ludzi.

Żołnierz z drugiej strony daje mi znak. — “Można skakać!” Biegnę pochylona i wpadam do bramy.

NA LINII “FRONTU”

W kamienicy ruch. Przebijają już przejścia w murze, na piętrze dużej sali lekarze i sanitariuszki instalują prowizoryczny szpital.

Obok w pokoju pozycja ognio-wa. Na balkonie znajduje się gniazdo karabinu maszynowego osłonięte stosem poduszek i materacy. Obsługa rkm-u ma na sobie hełmy z 1939 roku. W pewnej chwili na biurku odzywa się telefon. Żołnierz zrywa się, by podjąć słuchawkę ale dowódca zatrzymuje go. — “Obie poczty znajdują się jeszcze w rękach nieprzyjaciela”. O piętro wyżej “Pe-Zetki” przygotowują wieczorną strawę dla żołnierzy.

Docieram wreszcie do moich ludzi. Wszyscy są spokojni, twarze roześmiane. Radiostacja, która została przewieziona z Częstocho-wy na kilka dni przed powstaniem jest niedaleko, tylko o parę ulic. Teraz jeszcze nie można się tam dostać, gdyż ostrzał jest zbyt silny, trzeba zaczekać aż się ściemni. Oddział pójdzie dopiero po nią pod osłoną nocy i przeniesie ją na miejsce.

Chłopcy cieszą się już na myśl o tej wyprawie, dosyć trudnej w tych warunkach, bo przecież radiostacja to cztery ciężkie, potężne skrzynie. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że koniecznie jak najszybciej trzeba zmontować radiostację i nawiązać łączność ze światem. Tamej w Londynie muszą wiedzieć, żeśmy już zaczęli.

PO PIERWSZYM DNIE

W późnych wieczornych godzinach nadchodzą pierwsze meldunki o zdobyciu pobliskich gmachów. Ukazuje się pierwszy numer “Biuletynu Informacyjnego” i “Warszawa Walczy”.

O godzinie 11 w nocy wpada do naszego pokoju zadyszana, roześmiana Julia, staje na baczność przed szefem i melduje: — “Panie poruczniku, obywatelka Julia, melduje posłusznie, że wzięła pięciu Niemców do niewoli w gmachu PKO.” Jakże się to stało?

— “Było nas dwie — opowiada Julia — przenosiłyśmy właśnie aparaty radiowe do gmachu PKO, gdy nagle w tym wielkim hallu słyszymy w ciemności dobrze nam znane: “Halt, Haende hoch”. Okazuje się, że ukryła się tam załoga jednego z czołgów niemieckich unieruchomionych na Marszałkowskiej. Zdrętwiałyśmy na chwilę ze strachu. Ale później wytłomaczyłam Niemcom, że są otoczeni ze wszystkich stron. Jeźli wola spadnie nam z głowy dostaną kulę w łeb niezawodnie. Warszawa jest w naszych rękach, nie mają więc innego wyjścia jak złożyć broń i pomaszerować z nami na najbliższą placówkę. Poszwargotali coś między sobą zostawili broń i poszli z nami”.

O północy montowano już radiostację. W drukarni szedł nowy nakład “Biuletynu”. Na pozyjach czuwali żołnierze. Nikt nie miał ochoty spać w tę pierwszą noc wolności.



Afisz, który pojawił się na murach Warszawy w chwili wybuchu powstania

Z WIERSZY POWSTAŃCZYCH OJCZYZNA WICHER WOLNOŚCI

Dotykam Ciebie drżącymi rękami
Polsko, wyrosła z ciężkiego podziemia,
jesteś wciąż ze mną, a ja godzinami
uwierzyć nie śmiem w wielkość Twoich przemian.

Jesteś wciąż ze mną żywa i tak jasna,
że oczy mrugając pod suchy trzask kul,
Trwam w Twojej bliskości i żyję w Twoim blasku,
który zwycięży i oddali ból.

Tobie dziś płoną bitewne pożary
i ranni krwią przelaną dziś Tobie się modlą
Ziemio, znaczone stygmatami wiary —
Ojczyzno, własna, jak ostatni oddech.

Ziemio wielka, szeroka, ojczyzno
na żołnierskich, dźwigana ramionach —
Idzie czas, kiedy dobra Twoja przystań
Zniczem wolnym znów będzie nam płonąć.

Bo wolność, która nad miastem się pali —
ta wolność co w serca nam wrosła i trwa,
dziś wzięta olbrzymia ponad ocean
i krzykiem zwycięstwa ogarnę chce świat.

Słyszycie?
W tym krzyku śmiertelny jest strzał
i wrogów nie wzniesie już żaden horyzont
bo wicher wolności nad nami się stał
wyczekiwany i wolną ojczyzną.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

GRETA NOWAKOWA

ZNACZENIE TEJ NAZWY W BITWIE O NORMANDIE

"Chambois" jest nazwą małego miasteczka, zbudowanego wokół skrzyżowania dwóch dróg z Trun ku Sekwanie, ku Rouen i Amiens. Przed rokiem na rynku tego miasteczka spotkały się wysunięte patrole dwóch armii w odmiennych nieco mundurach i różnymi mowiącymi językami. Od południa, z kierunku Argentan, "zeszedł" do Chambois batalion piechoty amerykańskiej. Od północy przyszła grupa bojowa I Polskiej Dywizji Pancernej.

Gdy na rynku Chambois te dwie grupy spotkały się z sobą z okrzykiem: "Friends" /przyjaciele/, zamknął się ostatni rozdział wielkiej bitwy o Normandię. "Falaise Pocket", która przez wiele dni nie schodziła z pierwszych stron pism całego świata, była w ten sposób ostatecznie zamknięta. Dla resztek VII Armii Niemieckiej oznaczało to śmierć lub niewolę. Zniszczenie armii von Kluge było istotnym celem Bitwy o Normandię.

Po klęsce zadanej w sadach Normandii przez Armie Sprzymierzonych *Wehrmacht* już nigdy więcej nie podniósł się do dawnej świetności. Ta klęska dała wolność niemal całej Francji i znacznej części Belgii. Oswobodzenie Paryża w cztery dni po zamknięciu "Falaise Pocket" było symbolicznym ukoronowaniem zwycięstwa.

ZNACZENIE DLA POLSKIEJ DYWIZJI PANCERNEJ

Dla uczestników raidu poza linie nieprzyjacielskie, który doprowadził ich miał do Chambois, do zdobycia miasteczka i utrzymania w odcięciu od głównych sił I Armii Kanadyjskiej wszystkich przechodzących tędy dróg przez trzy dni ciężkich i krwawych walk, nazwa Chambois oznacza to właśnie miasteczko. W historii Dywizji Chambois jest nazwą bitwy, która rozegrała się na kilkukilometrowym odcinku. Nie cała Dywizja była w Chambois, lecz cała Dywizja brała udział w bitwie o Chambois.

Grupa bojowa, która je zajęła przekroczyła w marszu jeszcze jedną wolną drogę odwrotu z Trun. Droga ta przebiega o 3 — 4 km na północny-wschód od Chambois u stóp wzgórz wznoszących się nad Champeaux, Ecerchées i Coudehard. Na tych wzgórzach usadowiły się pozostałe oddziały Dywizji, walczące na dwa fronty, zwrócone frontem tak ku Trun, jak i ku Sekwanie. Miały one przed sobą oddziały szukające ucieczki z "worka", za sobą śpieszące im na pomoc elementy 21 Armii Niemieckiej. Ta część Dywizji była może w bardziej rozpaczyliwej sytuacji, niż dalej wysunięta grupa w Chambois. Lecz i ona wytrwała zwycięsko, ponosząc ciężkie straty i sama zadając straty olbrzymie. "Falaise Pocket" raz zamknięta nie została przerwana ani przez nacierających z zewnątrz, ani przez nacierających z wewnątrz pierścienia.

POCZĄTEK RAIDU

Raid ku Chambois rozpoczął się 15 sierpnia w godzinach porannych z położonej przy szosie Caen — Falaise wioski Grainville.

W Grainville znaleźliśmy się raz jeszcze przed tymi samymi pozycjami niemieckimi, które dwa dni przed tym daremnie staraliśmy się nadgrzyźć po zdobyciu szturmem Estrées la Campagne. Na naszych mapach figurowała ona jako La Croix-le-Val, nazwa dla nas niemal symboliczna.

Estrées la Campagne była za nami. Lecz przed nami była ciągle ta sama linia obronna, do której zdołaliśmy nabrać należytego szacunku. Siła tych pozycji była dobrze znana dowódcy I Armii Kanadyjskiej. Nie człowiek i czołg miał ją przełamać. Poprzedniego dnia niszczyły ją wielkie fale bombowców. Niestety tym razem niewiele bomb spadło na cel właściwy i nie wszystkie po właściwej stronie frontu. Lecz na naszym lewym skrzydle lepiej się powiodło.

Po odlocie bombowców oddziały kanadyjskie wdarły się w linie niemieckie. Naszym zadaniem było wejść w tę lukę, rozepchnąć ją w obydwie strony i iść naprzód aż do spotkania wojsk amerykańskich idących nam naprzeciw.

Krótko przed wyjściem z Grainville zjawia się grupa korespondentów wojennych przyjaźnie uśmiechających się do żołnierzy i zupełnie nie po angielsku gestykulujących nad mapami. Pada niewiele pocisków, więc nastrój jest beztroski. Podjeżdżają czołgi

i skręcają w tumanach kurzu w boczną drożkę. W ich łoskocie trzeba milczeć lub krzyżeć, by się móc zrozumieć. Za czołgami idą nasze *half-tracki*. Idą jeden za drugim i na zakręcie tworzą jedną nieprzerwaną ścianę żelaza.

Dołączamy do kolumny. Korespondenci fotografują zawzięcie i potem salutują mojemu dowódcy. Ruszamy z uczuciem, że idziemy na ważne zadanie.

WYCZYNY "STRZELCÓW"

W straży przedniej Dywizji poszedł 10 P.S.K. wsparty szwadronem dragonów i dywizjonem ppanc. "Strzelcy" stworzyli sobie tradycję płatania Niemcom najmniej przyjemniejszych niespodzianek. Z ich przynależności do Dywizji każdy żołnierz jest w równym stopniu dumny co z własnej przynależności do danego oddziału.

"Strzelcy" wyskoczyli tym razem tak szybko naprzód, iż zagarnęli dział niemieckie na stanowiskach, wybili załogę, zdobyli nietknięte czołgi, wśród nich jednego "Tygrysa", którego "Cromwelliści" chcą koniecznie zabrać ze sobą. Ostatecznie zostaje na miejscu z działami, znacząc drogę przejścia Dywizji. "Strzelcy" idą naprzód. Wpadają do Jort i jednym skokiem przechodzą na drugą stronę Dives, tworząc przyczółek umacniany i trzymany przez dragonów. Tymczasem nadchodzą siły główne, które odsuwają nieprzyjaciela z obu stron przeprawy i pułki pancerne przechodzą na przyczółek.

Gdy zbliżaliśmy się wieczorem do Jort, w zapadającym zmroku widać było wspaniałe świecące parabole pocisków idących od nas w lasach na naszym lewym skrzydle i stamtąd, jakby się odbijały własnym impetem wracających do nas. Nasz szwadron wsparcia wyjeżdża na czoło i dołącza się do rozgrywki wszystkimi własnymi i zdobycznymi c.k.m.ami. Główna kolumna posuwa się wolno gęsiędo do przeprawy. Zjeżdżamy z pola w wąską drożkę polną, obniżającą się powoli do rzeki w głębokim przekopie. Przed nami jasna luna palącego się Jort, zakrytego wysokim wałem toru kolejowego.

GROŹBA BOMBARDOWANIA I PRZEPRAWA W CIEMNOŚCI

Przy pierwszych opłotkach wsi kolumna zatrzymuje się. Weszliśmy w tuman, jak za chwilę mieliśmy się przekonać, zbawczego dymu. Wśród drzew żarzą się ogniki papierosów i słychać szepcący cicho rozmawiających żołnierzy. C.k.m'y ciągle strzelają i trzeszczą belki palących się budynków. W ten świat dźwięków wchodzi nagle inny ogłos — rytmicznego mrużenia. Już jest nad nami. Wydaje się nam, że niebo gęste jest od samolotów. Za chwilę zapalają się nad nami rakiety, rozświetlając wszystko koło nas. Noc zamienia się w dzień. Bombowce krążą szukając celu. Pada rozkaz opuszczenia wozów.

Do tej pory nie wiemy co nas ocalało. W naszej kolumnie oszczędzającej miejsca, wóz stał na wozie. Droga była zbyt wąska, by móc na niej zawrócić, a przepok byłby wysoki, by móc zjechać na pola. Każdy wóz był arsenałem, obładowanym minami, granatami ręcznymi i przeciwczołgowymi. Jedna celna bomba oznaczać mogła zagładę całej kolumny. Bombowce krążyły uparcie przez pół godziny i wreszcie oddalali się na dobre. Odetchnęliśmy z ulgą.

Przeprawa przez dwa kanały Dives była dla każdego kierowcy zmartwieniem, której chyba nie zapomni przez całe życie. Do kruchych, chwiejących mostów nie było żadnych dojazdów. Trzeba było długiego manewrowania, w którym każdy ruch oznaczał niepowrotne zapadnięcie się w błoto, by ustawić wóz we właściwej pozycji do wjazdu na most. Mosty były tak wąskie, iż wpadnięcie w wodę i błoto wydawało się niemal nieuniknione. Wszystkie manewry dokonywały się w zupełnych ciemnościach. Tylko ręczne latarki ustawione na krawędziach mostu, zakryte przez błotniki w chwili przejazdu, wskazywały kierunek i granice niebezpieczeństwa. Światła nie wolno było palić.

W każdą noc zapadaliśmy gdzieś w terenie, by nie zdradzić miejsca swego pobytu ani samolotom szukającym nas każdego dnia, ani patrolom nieprzyjacielskim. Od umiejętności ukrycia się zależało powodzenie całej wyprawy.

DZIEŃ POD ZNAKIEM "NEBELWERFERÓW"

Następnego dnia wychodzimy na czoło. Tutaj Dywizja rozdziela

ROK TEMU PO

się na trzy kolumny, które różnymi drogami mają ostatecznie zamknąć "Falaise gap" i spotkać się ramie przy ramieniu w poprzek uciekających oddziałów VII Armii, 2.P.P. ładuje na swoje czołgi batalion piechoty i rusza pierwszy. Grupę, do której należą, tworzy 24 p.uł. pułk dragonów i dywizjon ppanc.

Z "Nebelwerferami" spotkaliśmy się już dawniej, lecz nigdy przedtem w takim nasileniu jak w ten dzień. Mielśmy dla nich inną nieco nazwę — śpiewające moździerze. Gdy pociski opuszczają lufę, zaczynają wyć i zawodzić. Początkowe brzęczenie i drżenie, które czuje się każdą tkanką ciała, szybko się zbliża i zamienia w przeraźliwe wycie syreny. Budzi ono przekonanie, że olbrzymia masa żelaza leci z nieba i zakryje każdy centymetr ziemi wokół. Patrzy się z nieco naiwną obawą na płócienny dach *half-tracku* i kurczy za jego stalowymi ścianami. Potem słychać wybuchy. Jeden, dwa... do sześciu. Gdy ostatni wybuchnął, słychać już brzęczenie następnej serii.

"Nebelwerfery" nie milkły tego dnia i nie dawały spokoju i w nocy. Może Niemcy liczyli, że zatrzymają nasz marsz naprzód, może chcieli wesprzeć kolumnę pancerną, która wchodzi teraz właśnie w pole naszego działania i którą mamy zniszczyć lub wepchnąć z powrotem do "worka". Walczą z nią czołgi 24 p.uł. w nieprawdopodobnym kurzu, który ledwo pozwala odróżnić wroga od towarzysza.

Dywizjon ppanc. wysłany na pomoc, nie biorąc udziału w walce od początku, nie może odnaleźć celu. — "Powiedzcie, gdzie są te czołgi?" — słyszę błagalny głos w słuchawkach. Ulani odpowiadają za mnie i potem zapada cisza. Wreszcie meldunek: — "Czołgi npla wycofały się". Moździerze śpiewają nad naszymi głowami, waląc teraz w wioskę, która otęsza się kurzem i dymem. Płonienie ognia skaczą ku niebu.

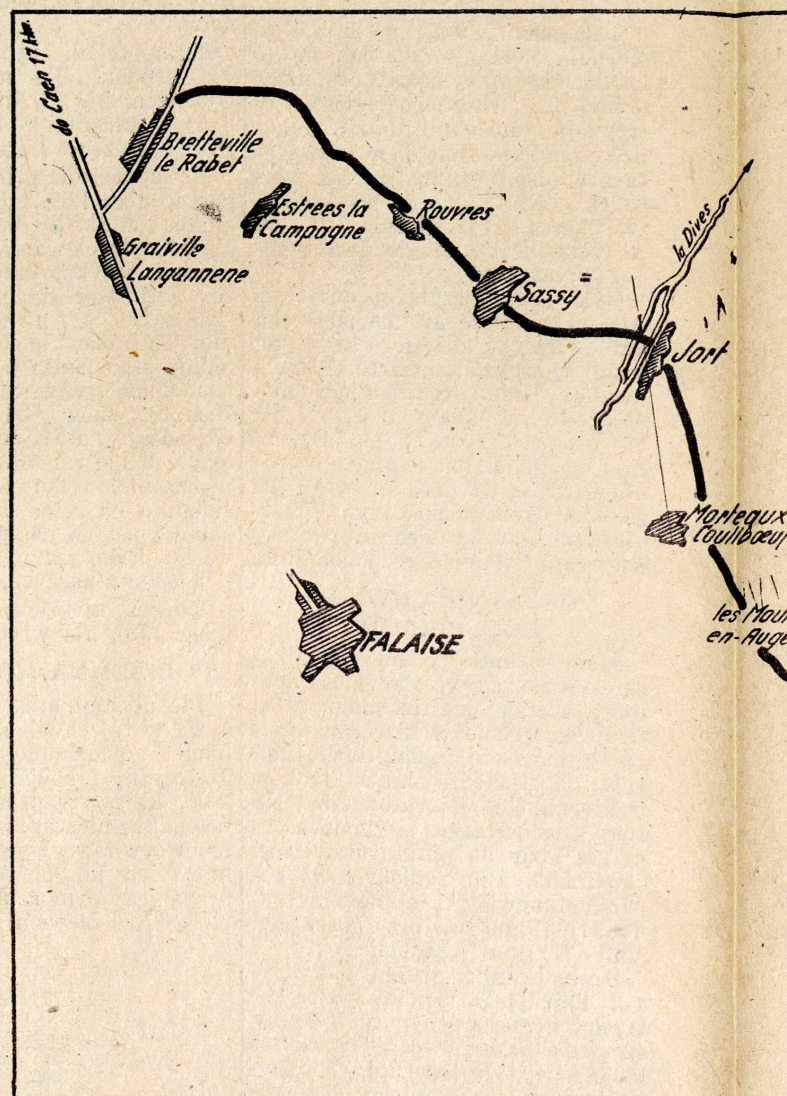
LUPY NA ZIEMI I NA NIEBIE

W lasku Morteaux Couliboeuf, w którym zatrzymujemy się na noc, pełno jeszcze śladów niedawnego pobytu Niemców. Niedopite butelki wina, porzucona amunicja, gazety niemieckie. Zaopatrzenie przywozi pierwsze listy z Anglii, które mówią o naszym udziale w bitwie o Normandię. Daleka Anglia, droga Anglia — przelatuje przez myśl ze wzruszeniem. Jest to jak gdyby ostatnie pożegnanie. Nikt nie przypuszcza, by mógł ją szybko zobaczyć. Idziemy, by "wygrać wojnę", a potem — wprost do Polski.

O świcie mamy pierwszą i ostatnią dzienną wizytę myśliwców niemieckich. Wyskakują zza górki niespostrzeżenie i przelatują na niskim pułapie, nie dostrzegając naszych wozów ukrytych w cieniu lasu lub zaspanych snopkami żyta. Gdy znalazły się nad grzbietem pagórków z drugiej strony Dives, te puste na pozór stoki biją nagle w niebo setkami przeciwlotniczych pocisków. Całe widowisko trwa nie dłużej niż minutę. Dwa samoloty walą się na ziemię znacząc miejsce swego upadku pióropuszem dymu. Trzeci wieje unikawszy zdradzieckich wzgórz.

W trzecim dniu marszu nie napotykaamy oporów. Teren staje się największą przeszkodą. Rowy, zarosła, karkołomne zjazdy i podjazdy. W pewnej chwili mija nas czołg, z którego kiwa do nas rozśmiany i promieniejący gen. Maczek. Ci, którzy go znają jeszcze z kampanii wrześniowej, twierdzą, że powodzenie i niepowodzenie wypisane jest na jego twarzy i wrożą szczęśliwy koniec wyprawy. Bierzymy pierwszy łup — papierosy, cygara, suchary z unieruchomionego niemieckiego wozu sztabowego. Żadnych ważnych papierów. Trochę listów miłosnych, czułych i nieprzyzwoitych.

Podjeżdżamy do wioski, w której Francuzi zapewniają nas, że wszyscy Niemcy przed chwilą uciekli. Gdy zmieniamy kierunek i idziemy dalej, zaczynają padać pociski moździerza. Mały kaliber i nikt się takim "szczeniakiem" nie przejmuje. Oddalamy się od wioski, zostawiając "szczeniaka" swemu losowi. Lecz gdy ten nie przestaje zabawy i odłamek rani lekko jednego żołnierza, idzie ekspedycja karna. Dragoni zasko-



Trasa grupy bojowej ppłk. Władysława Zgorzelskiego, która 19 sierpnia

czyli go po indyjsku na gorącym uczynku i załatwili się z nim krótko i ostatecznie. Słychać to w głosie składającego meldunek radiotelegrafisty, który drży i zalamuje się pod wrażeniem niedawnego widoku.

OD SIELANKI DO ZMORY

Biwakujemy tej nocy w opłotkach Moutiers en Auge. Rozpraszamy się na łące, szukając ukrycia pod żywopłotami. Jest piękny, słoneczny wieczór. Nie wdychamy już kurzu. Wokół nas bujna zieleń, jaką tylko we Francji zobaczyć można. Wojna na chwilę znikła w zapomnieniu. Można wyciągnąć się na trawie, patrzeć w niebo i myśleć o innym sierpniu. Nawet zmęczenie jest przyjemne.

Niebawem zaczyna ponownie strzelać moździerz i we wsi odzwaja się strzały *Sten-guma*. Tym razem ciężki kaliber. Padają pojedyncze pociski, tu i tam, po całym kwadracie, w którym jesteśmy ustawieni. Są ranni. Moździerz nie przestaje strzelać. Jeden celny pocisk rozbija wóz z amunicją, która pali się i eksploduje. Pociski przeciwpancerne biją we wszystkie strony. "Wu", "wu" — jest w tym zawziętość i sprężona siła i złość. — "Będzie ładna masakra" — mruczy ktoś pod nosem. Jesteśmy teraz celem widocznym z daleka. O dziwo, moździerz teraz właśnie przestaje strzelać.

W kilka godzin później wy marsz. W jaki sposób pozbięła się kolumna tej nocy i ruszyła w drogę — trudno mi powiedzieć. Olbrzymia większość z nas była nieprzytomna ze zmęczenia, nie rozumiała co do nich mówią, gdzie są i co mają robić. Teren nieprawdopodobnie ciężki. *Half-tracki* przechylają się niebezpiecznie z je-

dnego boku na drugi. Trzeba wyrywać przejazdy w żywopłotach. Na chwilę wchodzimy na szosę. Daje to możliwość przeglądu kolumny. Motocykliści zataczają się, ochrypłym głosem meldując, że wszystko w porządku i nikt się nie zgubił. Ruszamy zawrotnym pędem, który usypia. Szturchnięcie przywraca mnie na jawę bitwy, która w sekundzie rozpętała się z pełną siłą.

Bitwa ta toczy się o wzgórze Louvières en Auge górujące nad doliną Trun, z których widać miasto jak na dłoni. Pierwsze czołgi wpadają w rozpadnięcie niemiecką broń pancerną i osłone dział przeciwpancernych. Ponoszą straty, lecz niszczą trzy czołgi npla i znoszą działą ppanc. Reszta wycofuje się, zostawiając jeńców. Jesteśmy panami wzgórz.

Raz jeszcze odzwaja się "Nebelwerfery", jęcząc i wyjąc. Pozwalają jednak odetchnąć między jedną salwą a drugą. Gdy zaczynają swój lot, siedzące postacie przykładają głowy do ziemi. Wówczas w trawie przydrożnej ćwierkają pogodnie pasikoniki i mrówki nie przerywają swej pracowitej wędrówki.

OSTATNI POSTÓJ NOCNY

Po kilku godzinach znowu ruszamy, by przejść na ostatni już postój nocny. Zjeżdżamy polem buraków w dolinę, ostrzeliwani przez wycofujące się oddziały i pniemy się pod górę. Tu zaskakują nas "Lightningi", pikując na nas zawzięcie, wychodząc z nurka w ostatniej chwili po rozpoznaniu naszych gwiazd.

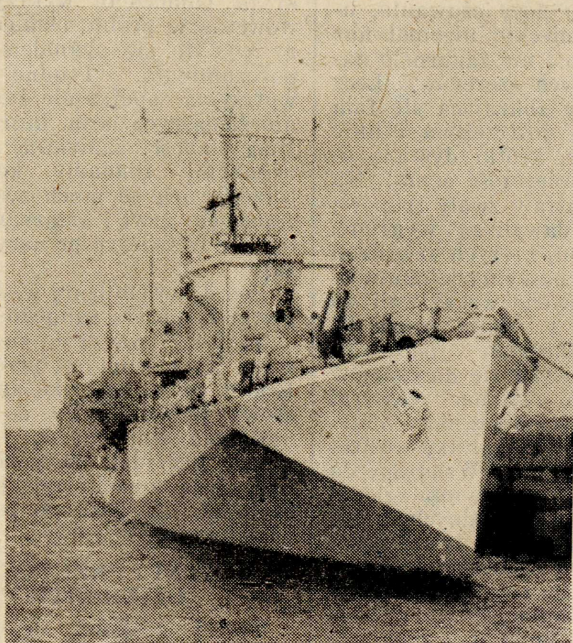
Weszliśmy w sad, z którego już nie wyjdziemy do samego Chambois. Przechodzimy cmentarzy- skiem koni i sprzętu rozbitego atakami powietrznymi. W gęstych



„Ślżak” na Morzu Śródziemnym

Senior Officer

Idziemy z konwojem do Gibraltaru. Spokojnie, bez wydarzeń już ósmy dzień. Zrobiliśmy wielki łuk,



O.R.P. „Ślżak”

daleko na zachód, aby ominąć szlaki okrętów podwodnych i teraz idziemy już na wschód. Jutro powinniśmy zobaczyć ląd.

Konwój jest niewielki, ale cenny. Cztery duże statki naładowane samolotami. Eskortą — dwa kontrtorpedowce i dwie korwety. Zespół międzynarodowy. Brytyjski kontrtorpedowiec, jedna korweta kanadyjska, druga francuska i my S.O. /Senior Officer/ całości.

Pierwszy raz dowodzę takim zespołem i z gorliwością neofity przestrzegam instrukcji atlantyckich konwojów. Ustalam pozycję eskorty na dzień, na noc, na mgłę, na zmierzchu, na świt. Wydaję dyspozycje i ideę manewru na wypadek zaatakowania nas z powietrza, z wody, z pod wody, z prawa, z lewa. Jestem w stałej łączności z komandorem konwoju, żądam określenia i podania pozycji w każdej południe — słowem dowodzę.

Nie wiem, czy nieprzyjacieli miał telepatyczny wywiad i nie chciał, czy nie śmiał zaatakować tak „przygotowanego” konwoju, czy były inne powody, dość, że podróż mijala nam, jak się już wyżej rzekło — spokojnie. Nawet dowodzenie zespołem /coż za odpowiedzialność/ nie wyczerpuje mojej aktywności, więc każę zorganizować na dziobie zawody strzeleckie do tarczy — z krótkiego karabinka. I

w chwili, kiedy szykuję się trafić w samą „dziesiątkę” — krzyknę z pomostu: — „Lewo trzydzieści sylwetka na horyzoncie”.

W te pędy na pomost. Wołam nawigatora i pospołu przeglądamy log sygnałowy. Badamy kto to może być? Codziennie popołudniu otrzymuję się sytuację na godzinę 20,00. Pozycję, kurs i szybkość własnych jednostek. W ten sposób z bardzo dużym przybliżeniem można obliczyć kogo, gdzie i kiedy zobaczymy, czy spotkamy. Skrupulatnie sprawdzamy cały ruch za ubiegłe 24 godziny. Nikogo nie powinno być, więc albo neutralny „syngiel” albo niemiecki korsarz.

Nawet napewno korsarz, sylwetka wojenna. Co robić? Jestem S.O. Zapominam o instrukcjach i sięgam do przykładów /bohater-skich oczywiście/ osłony i obrony konwojów. Tak, wiem. Muszę się sam poświęcić, biorąc na siebie całą ogień „raidera”, angażując go jak można najdłużej, a konwój tymczasem pod osłoną dymną, a potem nocy, zmieniając kurs — umknie. W międzyczasie nadzieję pomoc i odsiecz. Tak, ale my zginie. Trudno, *noblesse oblige*.

Jestem S.O. Wołam na pomost zastępcę i uroczystym głosem oznajmiam mu, że idziemy rozpoznać sylwetkę na horyzoncie. Trzeba być przygotowanym na wszystko. Przy słowie wszystko

— czuję, że jestem patetyczny. No, ale trochę patosu w takiej chwili nie szkodzi. S.O. i w ogóle...

Nadaje sygnał na kontrtorpedowiec, że idziemy rozpoznawać podejrzaną sylwetkę i że będziemy informować go o rozwoju sytuacji.

Robimy zwrot, zwiększamy szybkość. Pierwszy artylerzysta wiazi do dalecownika — tak na wszelki wypadek, aby być stale „w kursie”.

Ja przypominam sobie, że za dobrych czasów marynarze przed bitwą wdzielali czyste koszule, a ja od tygodnia nie zdjąłem nawet swetra. I to się nazywa postępek, cywilizacja.

Idziemy na zbliżenie nierozpoznanej jednostki. Staramy się określić kurs i szybkość. Zdaje się, że idzie prosto na południe — szybkość duża. Napewno jakiś krążownik pomocniczy, lub może sam „Scharnhorst”.

Wszyscy na pomoście z lornetkami przy oczach. Ja mam minę, jakbym nazywał się Bohaterski.

— „Krażownik” — wrzasnął oficer artylerii z dalecownika.

— „Dwukominowy” — zameldował sygnalista „Sokole Oko”.

Nie, to nie jest „Scharnhorst”. Odetchnąłem z ulgą.

— „Prawdopodobnie klasa „Southampton” — zakonkludował zastępca, spec od sylwetek.

Już na śmiałego zbliżyliśmy się coraz bardziej. Widać wyraźnie — krążownik wali prosto na południe, robi niewielkie zygzyki, szybkość powyżej dwudziestu węzłów.

Trzeba się znaleźć w sytuacji — myślę, i każę nadać sygnał — „Cieszę się, że wy to nie „Scharnhorst”. Za chwilę przychodzi odpowiedź:

— „My też, że wy nie U-boat”.

To już wyraźna ironia tak nas sponsorować. Przyzwyczajony kontrtorpedowiec — i to seniora — przyrównać do okrętu podwodnego... Czuję się wyraźnie dotknięty. Zawracamy do konwoju. — „Własny krążowniczek” — powiedziałam eskortę, mszcząc się w ten sposób za U-boata.

Ledwie przegrupowałem /trzeba działać / eskortę, przyniesiono sygnał od Admirała Gibraltaru, że w takiej a takiej pozycji samolot wpadł do morza. Wołam nawigatora. Nanosimy pozycję na mapę. Około 60 mil od nas. Patrzymy na siebie — „Shepherd of the dinghies”.*

Próbujemy szczęścia. Coprawda sygnał jest raczej informujący, niż rozkazujący i jesteśmy tutaj S.O., ale pokusa duża. 60 mil, to znaczy około 2 godzin. Teraz jest 13,30. Będziemy tam około 16,00. Poszukamy godzinę — to 17,00. Zachód słońca o 19,00. Powinniśmy złapać konwój przed zmrokiem.

Zastanawiam się czy wysłać Anglika, czy iść samemu. Ale przeświadczenie o naszym w tym „względnie” doświadczeniu przeważa i postanawiam iść sam. Nadajemy sygnał na kontrtorpedowiec, że idziemy szukać lotników i zostawiamy go jako „acting S.O.”, drugi sygnał do C-in-C. Gibraltaru i... prawo na burt, zwiększamy obroty.

Słońce lekko dopieka. Wyciągnięty w leżaku na pomoście ustalam plan poszukiwania lotników. Najlepiej dużymi zygzykami — myślę — szybkością piętnastu węzłów; nie za szybko, aby łatwiej było obserwować. Mam przeczuć, że ich odnajdziemy. Po godzinie konwój znika, nawet dymów nie widać. Czuję się dziwnie sam bez innych okrętów. Jak to człowiek odczuwa głód towarzystwa, chociażby takiego, z którym porozumiewa się tylko „Morsem” lub flagami.

Ni stąd ni zowąd fala zaczyna wznosić, od czasu do czasu dzwoni „zarabie” porządnie. Musimy zmniejszyć szybkość. Nachodzą mnie wątpliwości, czy słusznie zrobiłem, odchodząc od konwoju, czy zdążyć dołączyć przed nocą, jak „będę wyglądał”, gdy oni w czasie mojej nieobecności zostaną zaatakowani. Przecież jestem S.O.

Fala wzrasta. Możemy iść tylko 17 węzłów. Koło 17,00 dochodzimy do pozycji strąconych lotników. Meldują jakąś sylwetkę. Podchodzimy bliżej. Kontrtorpedowiec. Wymieniamy sygnały. — „Co tu robicie?” — „Szukamy lotników”, a wy? — „Przyszliśmy szukać lotników, ale mamy konwój na głowie, więc odchodzimy”.

Spada mi ciężar z serca. Znowu „prawo na burt” — jak najszybciej dołączyć do konwoju. Ambicja odnalezienia lotników gdzieś pierzcha. Ale nie można iść duża

* Dosłownie: pasterz ratowniczych łodzi lotniczych — przydomek nadany „Ślżakowi” przez prasę z racji rekordowej liczby lotników odnalezionych i podniesionych przez niego z morza.

szybkością. Fala. Ostrożnie jednak dodaję co pewien czas po 10 obrotów.

O 18,00 wstępuje na wachtę zastępca. Zamieniamy parę słów na temat pogody i schodzę do kabiny na herbatę — trochę zmarzłem. Po herbatce na pomost. Może by jeszcze zwiększyć szybkość?

— „Czy trzęsie?” — pytam zastępcę.

— „Właściwie, nie”.

— „No to 20 obrotów więcej”.

Falę mamy z ówierz wiatru z lewa wskos, okręt nie szarpie zbyt mocno, ale na większej szybkości przechyły stają się większe. Narazie idzie wcale dobrze. Stoję na prawym skrzydle pomostu, zastępca przed kompasem i rurą głosową.

Dochodzi 19,00, a konwoju nie widać. Nie widać nawet dymów. Za godzinę będzie ciemno. Czy ich odnajdziemy w nocy? Pewnie z powodu pogody zmniejszyli szybkość, a może zmienili trasę, a może coś się stało? A ja tutaj sam. S.O.

— „Dwadzieścia obrotów więcej”.

— „Dwadzieścia obrotów więcej” — powtarza zastępca do sterówki.

Nagle, mocne uderzenie fali o dziób i okręt gwałtownie położył się na burtę. Wszystkie ruchome przedmioty potoczyły się z koskotem w stronę przechyłu.

Zastępca chwycił oburącz rurę głosową i krzyknął do sterówki: — „Prawo na burt” — ja prawie w tej samej chwili: — „Pięćdziesiąt obrotów mniej”.

Zamarliśmy w oczekiwaniu. Wyprostuje się, czy nie...

Krawędź burty i pokładu dotykała wody. Motorówka tuż, tuż nad wodą. Obsługa działa „dwa” i „pom-pom”, zrzucone przechyłem na prawą burtę, skupione w gromadki spoglądają w stronę pomostu. Po pokładzie toczy się obijając się o nadbudówki jakaś zle umocowana bańka...

Sekunda ma naprawdę 60 tercji...

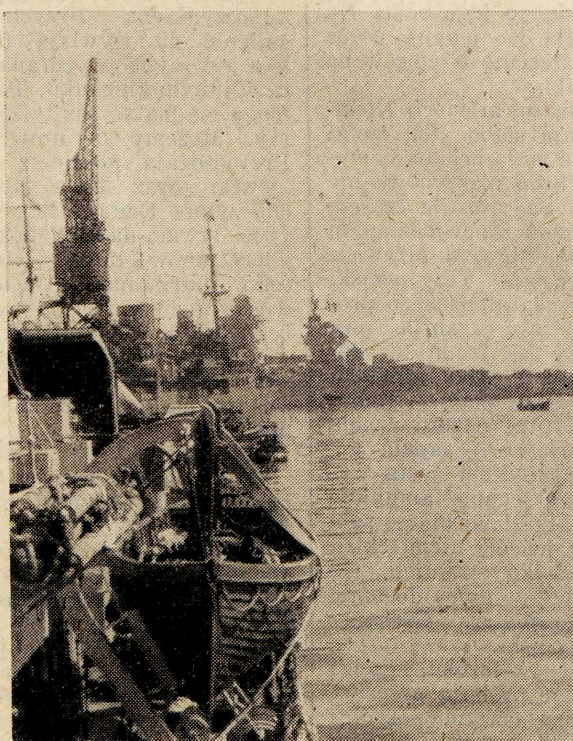
Ale burta zaczyna odklejać się od wody. Okręt prostuje się. Robi mi się dziwnie lekko na sercu. Patrzę na zastępcę — on łapie mój wzrok. Uśmiecham się. W takich momentach rodzi się przyjaźń.

Po godzinie odnaleziliśmy konwój. Na szczęście wszystko było w porządku. Zaczęłam na nowo dowodzić. Przegrupowanie, dyspozycje na noc, na świt, na sztorm.

Jak S.O. — to S.O.

LEOPOLD MILANOWSKI

Przeraźliwy świst nad uchem — jeden — drugi — trzeci. Zaraz, zaraz — gdzie ja jestem? Usiłuję



W porcie śródziemnomorskim

naprędce zebrać rozpędzone snem myśli, otwieram oczy, wreszcie uchem chwytam watek — zmiana wachty.

Jeszcze chwileczkę — proszę rozleniwione ciepłem snu ciało, jeszcze poleż trochę, szepce lenistwo, tak troszkę, ot tak, tak.

Nie, dosyć tego! Siadam przedko w hamaku. Przetarcie oczu, parę energicznych ruchów rękoma — i już znowu czuję się rześki. Teraz ubranie, skarpetki — raz, dwa, trzy. Jestem gotów. Nakładam jeszcze ciepłą czapkę, notes do kie-

szeni i ruszam.

Skulony w ciemności przechodzę pod hamakami, przy drzwiach rzucam okiem na zegarek — a to dopiero za pięć dwunastą, więc jeszcze pięć minut. Po co się tak śpieszyłem? — przechodzi mi przez głowę. Powoli wdrapuję się na górę.

W sterówce tłok, pełno dymu i ruchu, widać podniecenie. Jeszcze nie wiem, ale już pytam: — Antos co jest? A on: — No bracie będziesz miał zabawę na swojej wachcie.

Jeden patrol

I naraz wszyscy, to znaczy we trzech zaczynają mi opowiadać, że łódź, że samolot, że „flara”, że tamto, że to. — Zaraz, zaraz, przerywam ten potok wymowy, bo czuję, że nic nie rozumiem — od początku, pomalutką. Aha, więc samolot zauważył niemiecki okręt podwodny na powierzchni, rzucił tam „flarę”, przysłał sygnał i jedziemy na polowanie, w porządku.

Maszeruję na pomost, aby odebrać wachtę. Tu już ruch. Dowódca jest, oficerowie są. Wszyscy z lornetkami, obserwują bacznie horyzont, łapię się więc i ja. Początkowo widzę mało, wzrok jeszcze nie przywykł do ciemności. O! o!... teraz lepiej — tak teraz coś widzę, tak — tam dalej przed dziobem jest łódź, tu miga jedno słabutkie światło, a tu jest drugie — tylko je rozpoznać i jest pozycja. Ale co to za cholera? Teraz dopiero zauważyłem światło wybliskowe, silne bardzo i bliskie /tak mi się przynajmniej wydawało, bo w nocy odległość i tak na oko zawsze się nie zgadza/. Łódź tu — myślę sobie — nie, to niemożliwe. Zapytam się.

— Panie poruczniku co to za światło? — Cisza. Pociągam go za płaszcz i głośniej — Co to się tam świeci panie poruczniku? — Wreszcie wycedzona, flegmatyczna odpowiedź.

No, to w końcu wiem. „Flara, flara” — odsapnąłem.

Pomalutką posuwając się zbliżamy się do flary. Dowódca nakazuje dzwonić na alarm.

Teraz dopiero zaczynam odczuwać zimno. Otulam się lepiej płaszczem, biorę lornetkę, by obserwować ciemną masę brzegu, do której ciągle się zbliżamy.

Noc jest piękna. Niebo usiane tysiącami gwiazd. Białe sierp księżyc oświetla wszystko, rysując na szarej jak lustro, gładkiej tafli morza srebrzystą drogę. W oddali brzeg czarny, błyskający gdzieś niegdzieś światłami i gdzieś niegdzieś jaśniejszą białością ośnieżonych szczytów. A to wszystko osnute białą, lekką przezroczystą mgiełką. Cisza, cisza łagodna, kojąca a równocześnie może tak złowroga. Dziwna noc.

Rozpoczynamy poszukiwanie. Dziesiątki par oczu, wyteżonych aż do bólu prawie, obserwują powierzchnię. Nic nie może ujść ich uwadze, najdrobniejszy przedmiot na wodzie, najmniejszy ruch fal. Każdy rozumie, że od tego zależy jego bezpieczeństwo a może życie.

— Lewa 40 sylwetka na moście. Długo. — Brzęczy telefon od działu. Jak na komendę oczy wszystkich na pomoście zwracają się w tę stronę.

— Coś tam jest — stwierdza dowódca.

— Tak, tak widzę — pada parę głosów.

— Ster lewo na burt! — Ster leży lewo na burt — płynnie odpowiedź ze sterówki. Okręt wolno zaczyna się kręcić.

— Wróć na lewo 15 — wróć na zero „steady”.

Z dołu podają kurs. — Tak trzymać — pada rozkaz. Płyniemy w kierunku na widzianą sylwetkę.

Na pomoście cisza, cisza tak przeraźliwa, że słyszysz bicie własnego serca, które wali jak młotem.

— Czy widzicie jeszcze tę sylwetkę? — pada pytania dowódcy.

— Nie, nie, znikła gdzieś — biegnie parę niepewnych odpowiedzi.

— Czy wszyscy są pewni, że tam była sylwetka?

— Tak... tak.

Ja już nic nie mówię. Oczywiście bołą, nie prawie nie widzę, a raczej ciągle mającą mi się jakieś sylwetki, raz nawet chciałem już krzyknąć, ale się w porę powstrzymałem. Narobiłbym niepotrzebnego alarmu.

Patrzę na zegarek, to już po czwartej. Jestem zmęczony i czuję przeraźliwie zimno. To nie tylko ja się trzęsę, każdy od czasu do czasu przytupuje, zaciera ręce i klnie brzydko. Zaczynam marzyć o ciepłym łóżku, o chwili snu, o gorącej kawie...

— Ster lewo na burt — pada nerwowa komenda oficera wachtowego. Serce mi stanęło, bo niby taka komenda nigdy nic dobrego nie oznacza.

— Co? co? Co się dzieje? — dopytuję się dowódcę, który obserwował drugą stronę.

— Zdawało mi się, że torpeda, ale to pomyłka — tłumaczy się oficer wachtowy. — Ster na zero, wróć na poprzedni kurs.

— No dobrze, że to przywidzenie, pomyślałem.

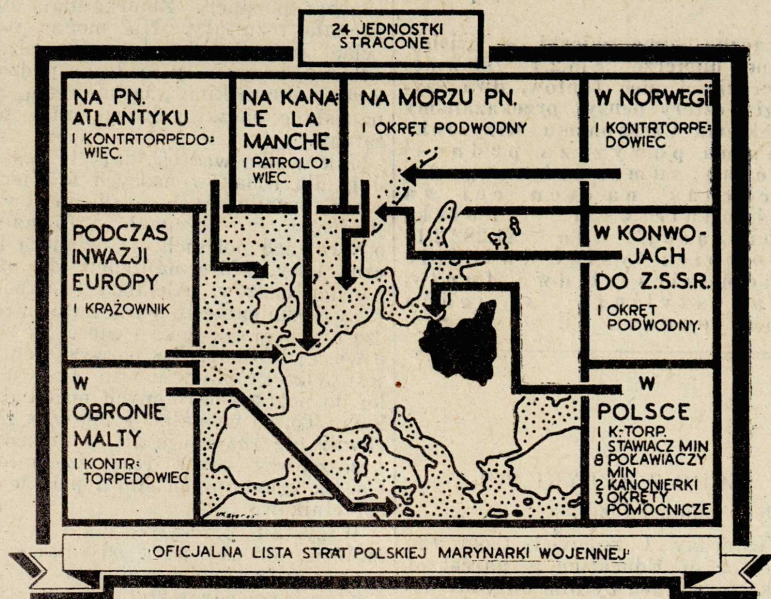
Zeszedłem na chwilę do sterówki. Pełno dymu. Każdy na swoim miejscu skulony, owinięty — drzeł lub palis papierosa, by nie zasnąć, by jakoś przetrwać do rana. Jeden tylko sternik z oczami utkwionymi w repertoryjny kompas, nie mógł nawet usiąść, nie mówiąc już o wątpliwym drzemce.

Ogrzawszy się wróciłem na pomost. Wschód słońca przyniósł od-bój alarmu. Jedna wachta została a reszta poszła na przymusowe spanie, po raz pierwszy w historii okrętu.

Oh! Jak przyjemnie być znowu w hamaku.

ZYGMUNT SZEMBEK

TOWARZYSZ BRONI



Armia Krajowa studiuje

Prowadząc z jednej strony akcję zbrojną — Armia Krajowa równolegle podejmuje wysiłki, których celem jest: pogłębienie wiedzy wojskowej, i uzyskanie w szeregach jak najwyższego poziomu ideowo-społecznego. Wiązało się to ze sprawą doskonalenia typu żołnierza Armii Krajowej, szkolonego w warunkach trudnych, wymagających wiele osobistego poświęcenia. Żyjącego ponadto w samym nurcie okupowanego Kraju.

Urabianiem ideowo-społecznym tego typu żołnierza Armii Krajowej zajęła się przede wszystkim wydawana podziemnie prasa wojskowa. W jednym ze środowisk wojskowych ukazywało się pismo „Wolna Polska”. Zamieszczało ono artykuły pod tytułem „Żołnierz powstania”. W artykule jest postawione pytanie, jaki powinien „być żołnierz, którego powstanie wywiedzie na pole bitwy z mroków konspiracji”. Odpowiedź brzmi: „musi to być typ żołnierza-obywatela, świadomego celu walki. Żołnierz każdy, a żołnierz powstania szczególnie, poza karabinem winien być również uzbrojony moralnie”. Od politykierstwa, które nie może być w wojsku tolerowa-

ne — „Wolna Polska” odróżnia „całkiem naturalną i zrozumiałą skłonność u żołnierza-powstańca, do prowadzenia rozmyślań nad tym, jakie będzie państwo, o które bije się w takich warunkach. „Wolna Polska” podkreśla, że właśnie o samowiedzę ideowo-społeczną żołnierza tego typu, dowódcy winni się troszczyć szczególnie.

Lecz nie tylko zagadnienia ideowo-społeczne są przedmiotem omówień podziemnej prasy wojskowej. Poświęca ona też niemało miejsca i na zainteresowania czysto wojskowej natury. Pismo wojskowe „Insurekcja” wydrukowało na przykład artykuł p.t. „Współdziałanie czołgów z piechotą”, powołując się na zmiany, jakie świeżo nastąpiły w strategii wojennej po doświadczeniach 1942 roku.

Wśród szeregu artykułów „Insurekcji” praca p.t. „Podstawowe zasady szkolenia” poddaje rozbirowi wszystkie elementy wykładu wojskowego, a więc: rozplanowanie, tok wykładu, osobista wiedza wykładowcy, zasada nierezygnowania z dokładności na rzecz objętości materiału.

Armia Krajowa nie tylko walczyła, lecz i uczyła się.

Podstawy organizacyjne Pomocniczej Służby Kobiet

Dnia 14 grudnia 1942 roku ukazało się rozporządzenie Ministra Obrony Narodowej, wydane w porozumieniu z Ministrami Spraw Zagranicznych, Wewnętrznych i Opieki Społecznej, o zaciągu ochotniczym kobiet do pomocniczej służby wojskowej w Polskich Siłach Zbrojnych.

Pomocniczą Służbę Kobiet uruchomiono na podstawie artykułu 102 ustęp 2 Ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym z dnia 9 kwietnia 1938 roku /Dziennik Ustaw R.P. nr. 25, poz. 220/, w drodze zaciągu ochotniczego. Wśród warunków, jakie zarządzenie stawia ochotniczkom — rozpiętość wieku jest określona od ukończonych lat 19 do ukończonych lat 45.

To samo rozporządzenie głosi, że Pomocnicza Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych obejmuje następujące rodzaje służb: 1/ służbę zdrowia, 2/ służbę administracyjno-gospodarczą, 3/ służbę techniczną w dwu działach: łączności i transportu, 4/ służbę kulturalno-oświatową.

Pod koniec stycznia 1943 roku ukazał się tymczasowy ramowy rozkaz organizacyjny o Pomocniczej Służbie Wojskowej Kobiet. Rozkaz ten nadawał kształt organizacyjny tworzącej się Służbie Kobiet.

Z pośród wielu ustaleń — wynotować należy przede wszystkim określenie grup fachowych. Obejmują one pięć zasadniczych działów: a/ transportowa /kierownictwo samochodów i motocykli/; b/ łącznościowa /radiotelegrafistki, telegrafistki, telefonistki/; c/ służba zdrowia /pomocniczy personel sanitarny/; d/ kulturalno-

oświatowa /świetliczarki i kantyniarki/; e/ administracja /personel biurowy i gospodarczy/.

Tak pojęta Pomocnicza Służba Kobiet, została powołana do zasilania Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie, Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, Dowództwa Lotnictwa oraz Kierownictwa Marynarki Wojennej. Na czele Pomocniczej Służby Kobiet, ustanowiona została Komenda Główna. W chwili obecnej Komendantką Główną jest pani pułkownik Maria Leśniakowa. Komenda Główna PSWK ma obecnie swoją siedzibę w Londynie, przy naczelnych władzach Polskich Sił Zbrojnych. Na czele ochotniczek na wyszczególnionych czterech terenach są postawione inspektorki.

Tak oto przedstawiają się w ogólnych zarysach zreby organizacyjne Pomocniczej Służby Kobiet. Należy dodać, że po raz pierwszy od czasu istnienia Polskich Sił Zbrojnych — Pomocnicza Służba Kobiet, acz oparta na zaciągu ochotniczym, postawiona została tak szeroko. W dotychczasowym życiu Polskich Sił Zbrojnych — służba kobieca, tak pojęta, stała się cenną nowością. Poważną i gruntowną, nie mniej nowością. Wiele rzeczy stwarzało się od nowa. Nie było należytej praktyki. Była za to gorąca dobra wola.

Kierownictwo Pomocniczej Służby Kobiet w swej pracy bezwzględnie pionierskiej — wykazało dużo rzetelnej umiejętności. Praktykę zdobyto z biegiem czasu, dzięki osobistym doświadczeniom, oraz dzięki kursom i stażom w służbach pomocniczych kobiet brytyjskich.

Od Piaśnicy po helską mierzeję

Mieliśmy przed wybuchem wojny — 140 kilometrów brzegu morskiego. W tej długości mieściły się również oba brzegi mierzei helskiej. Ten od strony Zatoki Gdańskiej i ten od otwartego Bałtyku, zwanego w potocznej gwarze rybaków, zamieszkujących całą tę najbardziej na północny zachód wysuniętą połąć Polski — „Wielkim Morzem”. Od Piaśnicy, rzeki granicznej do 1939 roku, ku samemu cypłowi helskiej mierzei.

Od pozostałych, w głębi lądu położonych Kaszub, ten brzeg piaszczysty, pełen wydm — różni się bardzo. Różnica jest szczególnie uderzająca po stronie „Wielkiego Morza”. Niemniej, ziemia ta nigdy nie przestała być Kaszubszczyzną.

Florian Ceynowa, poeta kaszubski, rodem ze Sławoszyń pod Puckiem, zostawił w swej spuściźnie opowieść o helskich dzwonach:

— „Helskie zwone. Ciej Hel na swoim pierwszym mōlu stojōł, to je na stōrym hoku, tej w tym stōrym koscele bōło setnio zwonōw. Ale jak one se spōłē, tej go Helani webudowale perznę dalej na wespie. Oni sobie też webudowale tam nowy kosceł i zwonnice, do cchternej wzele na setnie zwonōw. Ale jak oni zaczęte krase owce z lasa, towōr z okrētōw, tej im zwone uckle na miesce stōrygo kosceła. Setnie ich bōło i co setnie lōt przyńda one wjedno na wierzech. Trafilo se też jedynego raze, że jedna drzewczyzna szła z masłem do Hela i wiedzła na stōrym hoku na setnie zwonōw, dwa wielkie i pinc mōtych. One se uda na ten nomniejszy zwon,

Z miejsc postoju

Dnia 3 sierpnia 1945 roku w miejscu postoju Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, odbyło się uroczyste zakończenie IX kursu podchorążówki dla lotników. Uroczystość zakończenia odbyła się według tradycyjnego ceremoniału.

Komendant Centrum Wyszkolenia Piechoty płk. P. przemawiając do absolwentów, życzył im, ażeby „mogli na wolnych skrzydłach polskich znaleźć się nad prawdziwie wolną i niepodległą ziemią polską”. Płk. pilot K. zastępca Dowódcy Lotnictwa, podkreślając trudności przeżywanego okresu, stwierdził: „Wierzę jednakowoż, że potrafimy przetrwać ten ciężki okres. Zdajemy bowiem przed historią egzamin charakteru i wytrwania”.

Przemawiający imieniem absolwentów sierżant podchorąży T. zameldował: „Wojna dla nas się nie skończyła. Skończy się wtedy, gdy staniemy na ziemi wolnej Ojczyzny. Honoru żołnierskiego i tradycji żołnierskiej nie spalamy!”.

Płk. pilot K. udekorował dwu podchorążych Krzyżem „Wirtuti Militari”, 3 — „Krzyżem Walecznych”, po raz pierwszy, drugi i trzeci, 8 — Krzyżem Walecznych po raz pierwszy i drugi, oraz 7 — po raz pierwszy.

W czasie wspólnego obiadu żołnierskiego Komendant Szkoły Podchorążych płk. T. wznosił okrzyk na cześć Pana Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza, oraz Naczelnego Wodza gen. dyw. Tadeusza Bora Komorowskiego. Zegnając się w serdecznych słowach z nowomianowanymi podchorążymi lotnictwa, Komendant Szkoły wypuklił fakt, iż w Szkocji wyszkolono pół tysiąca podchorążych lotnictwa, a obecny dowódca kompanii szkolnej liczy 303 wychowanków — lotników.

Wśród absolwentów między innymi znajdowało się dwunastu lotników ze słynnego Dywizjonu Bombowego 301 Ziemi Pomorskiej, nazwanego od czasu powstania warszawskiego Dywizjonem Obronców Warszawy. Dywizjon ten niósł więcej niż ofiarą pomoc walczącej rok temu Warszawie. Jeden z pilotów odbył siedem lotów nad Warszawą dla zrzutów zaopatrzenia. Inny miał 21 lotów nad Polską, z tego cztery nad Warszawą. Znajdował się w gronie absolwentów również i przedstawiciel Polonii Charbińskiej.

abę jego, jakbe dodom szła, wżąc. Jak ona jego dwiga, odezwōł se do niej ten nowikszy zwon a powiōdō: Ciejbie te jes za mnie uchwōcēla, to by te inszy szesc za mną samy szle; ale tak nie dostoniesz żōdnego. Bō nie przystoi, bē ojc szed za senami, le sene za ojcem! — Potym nen zwonuszek ji zrobiej se taci cēzi, że go nijak udnese nimogla”.

Opowieść przytoczona — to jest właśnie kaszubska prawda o wielkiej powadze i znaczeniu ojca rodziny.

W przyległej do „Wielkiego Morza” części Kaszub — krząją legendy, jedyne polskie legendy, mające wątek morski. Opowiada je lud kaszubski w Karwi i Rozewiu, w Wielkiej Wsi, Kuźnicy, Chałupach, Borze, Jastarni i Helu. Tak samo w wioskach z nad „Małego Morza” — Zatoki Gdańskiej. Raz są to „zwone kaszubskie”, a innym razem wyjaśnienie, dlaczego Puck ma w herbie węgorka na łańcuchu.

Wydmę żółtego piachu, sosny tuż za wydmami, a przed tobą siny, niezgłębiony, szumiący przestwór: Bałtyk. Tak po polsku szumiący na skrawku polskiego wybrzeża.

Wszystko tu było na wybrzeżu inne od reszty Polski. I język ów chropawy, który pokazuje urywek z Ceynowy. I surowe, twarde życie rybaków, i krajobraz — jedyny w całej Polsce.

To też za spokojnych czasów przybywali tutaj ludzie z całej Polski. Dla zacierpienia, zwłaszcza podczas letnich lub wczesno jesien-

nych miesięcy — jodowego oddechu morza. Dzieciarnia opalała się na plażach, właściwie na jednej, nieprzerwanej plaży od Piaśnicy po Hel. Szumiało morze i chwytalo brzeg pierzastą falą, chwiały się wysokie, masztowe sosny, kłula trawa morska, i oslepiało słońce w dzień pogodny, jakże częsty na tym polskim brzegu.

A jak Krajowi naszemu potrzebnym był brzeg „Wielkiego Morza” — mówią te niezliczone domki-wille, których liczba rosła jak na drożdżach. I szosa asfaltowa z Wielkiej Wsi do Karwi, nasza autostrada nadmorska. I linia kolejowa, wysiłkiem polskich inżynierów i robotników przeciągnięta przez całą długość mierzei helskiej, niekiedy tak blisko pomiędzy „Wielkim” a „Małym Morzem”, czyli między otwartym Bałtykiem i Zatoką Gdańską. Mówią o tym coraz nowe wędzarnie ryb, coraz liczniejsze kutry rybackie, którymi dokonywano połowów.

A nad całością tego skrawka morskiego unosi się wysoko, pono najwyższa w tej części Bałtyku, latarnia morska w Rozewiu, z której wszystek polski brzeg bałtycki widać było jak na dłoni.

Nieraz w ciągu stuleci przemoc rządziła owym brzegiem kaszubskim „Wielkiego Morza”. Przemoc ginęła, a na jej miejsce przychodziła Polska. Bo na kaszubskim brzegu bałtyckim tylko Polska jest prawowitym gospodarzem. I pozostanie.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy „Polski Walczącej”, należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. „Towarzysz Broni” winien docierać do wszystkich.

Szkoci w obecnym rządzie brytyjskim

Rząd Brytyjski liczy kilkadziesiąt osób. Składają się nań członkowie ścisłego gabinetu, ministrowie mniejszej lub większej rangi, oraz parlamentarni sekretarze, będący politycznymi wiceministrami. Wszyscy muszą być członkami izb parlamentu to znaczy: Izby Gmin albo Izby Lordów.

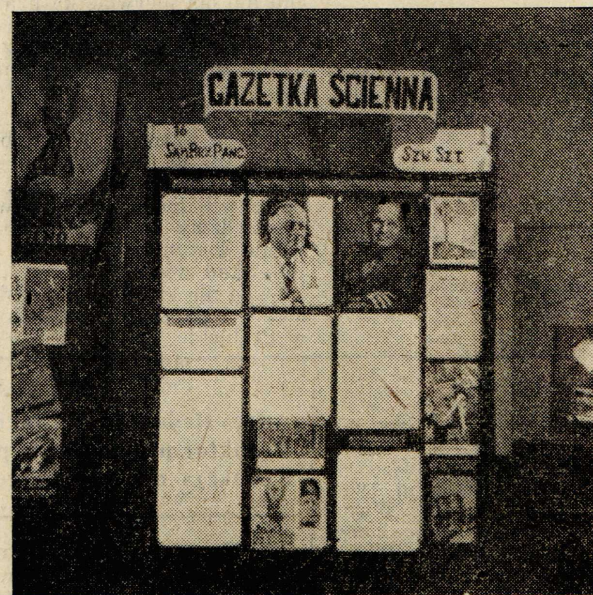
Trzeci w Wielkiej Brytanii rząd socjalistyczny, któremu przewodniczy przywódca Labour Party p. C. Attlee, zawiera w swym składzie siedmiu Szkotów. W zespole tym jest jedna kobieta.

Ministrem dla spraw Szkocji został p. J. Westwood, długoletni działacz robotniczy i samorządowy w Kirkcaldy. Urodzony w Worcester, jako chłopiec przybył do Szkocji. W poprzednim rządzie koalicyjnym był zastępcą ministra dla spraw Szkocji. W tymże

samym Ministerstwie Szkocji — wiceministrami zostali pp. George Buchanan i Thomas Frazer.

Inni labourzyści-Szkoci zostali wiceministrami w szeregu resortów. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych — p. Hector MacNeil. W Ministerstwie Emerytur — pani J. L. Adamson. W Ministerstwie Zaopatrzenia i Produkcji Lotniczej — pp. William Morris i Arthur Woodburn. Ministerialne stanowisko podskarbiego Dworu Królewskiego objął p. George Mathers.

Tym sposobem na 68 członków Rządu siedem osób jest Szkotami z pochodzenia. Dwa ważne stanowiska objęli posłowie z okręgów szkockich, nie będący jednak Szkotami. Są to uprzednio wymieniony J. Westwood i W. J. Pathick-Lawrence.



Fotografia gazetki ściennej Szwadronu Sztabowego 16 Sam. Bryg. Panc. Zwraca ona uwagę starannością opracowania i bogactwem treści. Zachęcamy inne oddziały, które poświęcają swoim gazetom więcej uwagi, aby przysłały ich zdjęcia fotograficzne. Chętnie je umieścimy.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND
Przesyłam £1 nieprzyjęty przez p. W. Scholtza

Z. Purzycki
£1 with love to the Polish Children from two friends.

PORADNIK ŚWIETLICOWY
Po długiej przerwie, wynikłej z powodu niespodziewanych trudności wydawniczych, ukazał się podwójny numer /55/56/ "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii.
Numer poświęcony w całości zagadnieniom polskich sztuk plastycznych, zawiera następujące rozdziały: Architektura, Rzeźba, Malarstwo i grafika, Rzemiosło artystyczne i Scenografia.
Okolo 200 fotografii artystycznych uzupełnia bogaty materiał informacyjny.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,282

Dear Sir,
I have pleasure in enclosing the sum of Five Pounds, being a donation from "D" Companions Social Club, Camouste, to Polish Red Cross Funds for Citizens of Poland liberated by B.L.A. from German Concentration Camps.
Yours faithfully,
R. H. Boyle, Secretary

Zamiast życzeń w dniu Imienin prof. Mariana Jedrała kierownika korespondencyjnego Kursu Handlowego przesyłam sh. 10 na pomoc Polaków w Niemczech.

Wpłaty tej dokonali byli uczniowie.

Z poważaniem
X.Y.Z. /Byli uczniowie/

W załączeniu przesyłam postal order na sumę £1 /słownie: jeden

funt/ od bezimiennego ofiarodawcy jako wygrany zakład — z przeznaczeniem na "Pomoc Polakom w Niemczech".

D-ca 1 Kolum. Sam. Sanit. E.H.

W załączeniu przesyłam Money Order na £23.74, które stanowią sumę zebraną przez Czołówkę Dwojstwa J.W.W.B. "Czwórka kaprali" na koncercie w dniu 21.V.1945 r. i przeznaczoną na pomoc dla Polaków w Niemczech.

Szef Wydziału Opieki nad Żoł. K.K.

Spadochroniarze z Armii Krajowej wpłacają na fundusz pomocy Polakom w Niemczech £13 /trzydzieście/.

Jako wyraz wdzięczności za pomoc lekarską przesyłam £2 dla Polaków uwolnionych z Niemiec.

Z poważaniem M.P.

Na pomoc Polakom w Niemczech sh. 5 przesyłam
Elżbieta Risley-Hutt

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £45.24 /słownie: czterdzieści pięć funtów, dwa szylingi i cztery pence/ przekazaliśmy Polskemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,282.21 /słownie: tysiąc dwieście osiemdziesiąt dwa funty, dwa szylingi i jeden i pół pence/.

APEL O KSIĄŻKI DLA POLAKÓW W NIEMCZECH

W związku z koniecznością przysięgi z pomocą rodakom naszym, uwolnionym przez zwycięstwo sprzymierzonych z pod przemocą niemiecką, a znajdujących się obecnie w licznych obozach na terenie Rzeszy, Światowy Związek Polaków z Zagranicy, w ramach ogólnej akcji Obywatelskiego Komitetu Pomocy Polakom w Niemczech, ogłosił wezwanie do zbiórki książek, broszur i gazet polskich. Zbiórka dała doskonałe rezultaty. Nie mogąc rozsiać indywidualnych potwierdzeń odbioru, pragniemy tą drogą podziękować wszystkim ofiarodawcom za nadesłane paczki z książkami i gazetami.

Jak wielką wartość dary te posiadają dla rodaków naszych w Niemczech, spragnionych polskiego słowa pisanego i uczciwej informacji o sprawach polskich — świadczy liście, które napłynęły do nas z wielu obozów. Ale listy te zawierają niezmienne tę samą nutę: proszę o więcej książek, o więcej gazet, o więcej broszur. To, co wysłaliśmy, jest tylko kroplą w morzu w stosunku do potrzeb ogromnych mas ludzkich. To, co wysłaliśmy, może w tej chwili już rozsypuje się w strzępy, przeszedłszy przez ręce dziesiątek i setek zgłodniałych słów polskiego czytelników.

Wszystkie przesyłki, jakie otrzymaliśmy do tej pory od ofiarnego społeczeństwa polskiego w Wielkiej Brytanii, powodowały już na kontynent, na posiadane przez nas 43 adresy obozów.

W tej chwili skład nasz stoi pustą; zaś stopy listów z prośbami o książki i gazety napływają w dalszym ciągu. Powtórnie zatem apelujemy do Polaków w Wielkiej Brytanii. Potrzeby nasze rosną coraz bardziej, gdyż nowe ośrodki i obozy zgłaszają się do nas z prośbą o pomoc. Niechaj ofiarności społeczność polska, która na tutejszym terenie cieszy się tylko jej właściciel, w Niemczech spełnić może służbę społeczną wobec setek ludzi.

Prosimy, aby wszyscy — i ci, którzy już przesłali nam swoje dary, i ci którzy dotąd jeszcze nie interesowali się naszą zbiórką — pomogli nam w zadaniu zaopatrywania w słowo pisane obozów w Niemczech. Ta praca rozpoczęta nie powinna być przerwana. Każda przeczytana polska książka lub gazeta powinna znaleźć drogę do Europy, do rąk ludzi, którzy ją tak, jak chleba.

A zatem przejrzyjcie raz jeszcze wasze biblioteczki, przeszukajcie przeczytane czasopisma. Prześlijcie wszystko, co możecie, na adres Światowego Związku Polaków z Zagranicy: 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE POWROTU
Szanowny Panie Redaktorze,
Niedawno senator Vandenberg /republikanin ze Stanu Michigan/ i p. Grew, kategorycznie oświadczyli, że utworzenie "rządu prowizorycznego" w Polsce nie zwalnia Stanów Zjednoczonych z odpowiedzialności wobec Polski.

M.in. p. Grew stwierdził, że porozumienie krymskie zawarowało, iż ambasadorowie trzech wielkich mocarstw będą informować swoje rządy o sytuacji w Polsce, co oznacza, że "utworzenie nowego rządu nie zwalnia nas z odpowiedzialności przyjętej w Jaltie".

Owszem ambasadorowie U.S.A. i W. Brytanii do Polski zostali mianowani lecz nie wyjechali z powodu braku mieszkań dla nich i ich personelu. Dotychczas w Polsce nie ma /prawdopodobnie za wyjątkiem jednego z "Daily Worker'a"/ żadnego korespondenta zagranicznego, a jeśli są, to nie wolno im nic pisać.

Wiadomości z Polski dochodzą do nas drogą okreśną i nieoficjalną. To co podaje radio lubelskie, jest dla nas mniej ważne, tak samo i pisma z kraju, które docierają do nas. Wszystko to jest pod kontrolą władz sowieckich, czy też ich agentów. To co wychodzi w świat musi być piękne, ładne i t.d. Niestety, my w to nie wierzymy. Po prostu nie da się w to wierzyć.

Być może, jesteśmy zbyt ostrożni, lecz ostrożność nie zawadzi. Nikt nie ma prawa twierdzić, że nie chcemy wracać do kraju. O powrót do Polski walczyliśmy blisko sześć

lat i dziś jesteśmy gotowi do powrotu do Polski wolnej i demokratycznej.

Mówią nam — wracajcie do Polski. Wojna skończona a tam w kraju potrzeba waszych rąk i siły na odbudowę kraju może najbardziej zniszczonego w tej wojnie. Wracajcie, bowiem macie gwarancję zupełnej swobody od "prezydenta" Bieruta. Osóbki i innych. Ależ ludzie zlitujcie się — my tym ludziom nie wierzymy, bo ich absolutnie nie znamy i trudno nam będzie im uwierzyć po takich faktach jak aresztowania i przesładowania żołnierzy A.K. i w ogóle tych ludzi, którzy czuli się Polakami. Ich gwarancja jest za mała. Chcemy waszej gwarancji, gwarancji Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Rosyjska gwarancja wcale nam nie potrzebna, bo kto wie czy nie znaleźlibyśmy się razem z 16 członkami ruchu podziemnego.

Chcemy aby wojsko sowieckie i policja polityczna /N.K.W.D./ zostało natychmiast wycofane z Polski. Wszyscy Polacy z Rosji powinni natychmiast wrócić do kraju. Zaznaczam, tylko Polacy a nie bolszewicy, którzy uczą się języka polskiego, aby brać udział w wyborach.

Po wycofaniu wojsk i policji sowieckiej powinien odbyć się spis ludności pod kontrolą W. Brytanii i U.S.A. Tak samo powinny odbyć się wolne wybory na podstawie pięciopartyjnego prawa wyborczego. Jeśli to wszystko zostanie zagwarantowane przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię napewno

wszyscy Polacy wrócą do kraju. Naturalnie, że żołnierz pragnie wrócić do kraju jak przystało na żołnierza z bronią w ręku.

Dopóki tej gwarancji nie mamy, dopóty nie ma mowy o naszym powrocie. Więc jeszcze raz zaznaczam, że jeśli ta gwarancja zostanie nam dana, kwestia Polski i Polaków chociaż w połowie, zostanie jako tako załatwiona. Gwarancja musi, raczej powinna nastąpić wkrótce tzn. w najbliższej przyszłości, aby czasem nie było zapóźno.

Kto wie czy za miesiąc czy dwa, Polska pod rządami pp. Bieruta i Osóbki nie zgłosi swojej chęci przyłączenia się do Związku Sowieckiego, jak to uczyniła ostatnio odpadając od Czechosłowacji Ruś Zakarpacka.

Pragniemy współpracy z Rosją, lecz serdecznie jej dziękujemy za taką opiekę, jaką otacza nasz kraj w tej chwili. Tej tak przyjemnej opieki mamy aż za dużo, za wiele. Potrafimy się rzadzić sami i tego pragniemy, a jeśli jakiś czas ma być kontrola nad naszym krajem, to nie tylko jednego mocarstwa ale wszystkich.

"Mur chiński", dzielący Polskę od zachodu powinien być rozwalony aby nigdy ponownie nie powstał. Jeśli pokój naprawdę ma być pokojem trwałym, opartym na sprawiedliwości, to przede wszystkim sprawa Polski musi być załatwiona sprawiedliwie.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, żołnierskie pozdrowienia
Antoni Mantykowski
Botleys Park War Hospital

ECHO Z AFRYKI POŁ.

Dear Colonel Idzik,

Yesterday I received from the Director of Education a parcel of books forwarded by him on your behalf as a gift to the citizens of Pietermaritzburg in commemoration of your recent stay in this City. I am deeply grateful for the kind thought expressed in your gift.

It has been the good fortune of this City to welcome and entertain troop units from many different commands during the course of the War, but no group has left behind it a higher reputation for discipline and efficiency than that of the Polish Army under your command.

The gratitude expressed by yourself and your men and by the diplomatic representatives of the your Government at present in this country seems to us to be out of proportion to those small services which it was our privilege to render.

The books which you sent have been placed in the Councillors' Library, and will always remain as a memento of a happy association.

With kind regards,

Believe me,

Yours sincerely,

/—/ Eleonora Russell

Mayor.

Mayor's Parlour,

City Hall,

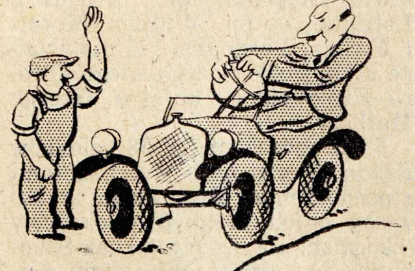
Pietermaritzburg, Natal.

20th August.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT ...

PO ZMIANIE RZADU W W. BRYTANII



—Stop panie Attlee za bardzo skręciliśmy w lewo!...

W PEWNYM KASYNIE

—... a ja nie wierzę w skuteczność bomby atomowej — piechota pozostanie nadal królową broni...

NASI W LONDYNIE

—Kto to jest ten pan w czarnym kapeluszu?
—Od kontaktów!...
—Elektromonter?
—Nie z propagandy...

OSTATNIE ŻYCZENIE

Szkotka do jednego z Polaków:

—Tylko przed objazdem do Polski, nie zapomnij ożenić się ze mną...

"PREZCZ Z CESARZAMI!"

—A ja panu mówię, że ostatnią wojnę rozpętała "cesarze"!

—Co też pan plecie!

—Długo wojnę rozpoczął cesarz Abissynii a skończył — cesarz Japonii...

OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI...

—Niechże pan zaprzestanie rozbijania orzechów na stole!

—Ależ dlaczego?

—Diabli wiedzą, czy w takim orzechu nie ma pierwiastka uranu!

—Jaki uran?

—To pan nie czytał, że z rozbicia uranu powstaje bomba atomowa?...

JEST ŹRÓDŁO...

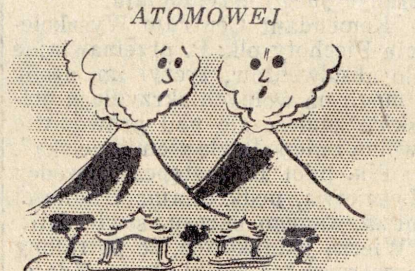
Dwóch Szkotów w Edinburgu zagląda już do trzeciego baru. Wszędzie odmawiają im whisky. W pewnej chwili jeden z nich mówi:

—Jedźmy do Peebles, tam mrowanie dostaniemy...

—Skąd wiesz?

—To nie czytałeś w prasie, że Polacy bojkotują wszystkie bary w Peebles!...

PO WYNALEZIENIU BOMBY ATOMOWEJ

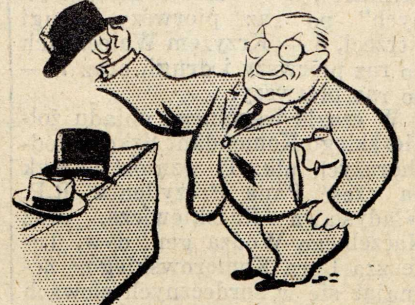


Wulkan japoński: — Panie kolego, teraz po wynalezieniu bomby atomowej to możemy iść na emeryturę...

O PRZYJAŹNI POLSKO-SZKOCKIEJ...

—"Stara miłość już rdzewieje"...

SZYK MODY



Nowy minister spraw zagranicznych Bevin: —
Panie kupiec, jak pan sądzi, czy będzie mi do twarzy w kapeluszu odenowskim?

Z ZIELONEJ ŁĄCZKI

W dwa dni po zakończeniu wojny, do jednego z obozów ma przyjechać "Czołówka teatralna". Na pięć minut przed wyruszeniem w drogę, zespół dowiaduje się, że jeden z muzyków został odkomenderowany na kurs.

—Jaki?? — padają pytania.

—Na kurs rozpoznawania sylwetek samolotów...

—Teraz??? Przecież my mamy przedstawienia!

—Wam tylko w głowie teatr i zabawa — kiedy jest wojna!...

W DOBIE WYNAŁAZKÓW



—Co tu robisz ptaszku?

—Próbuję rozbić atomy w tej kasie!...

ZGODNI...

Jak rodacy tłumaczyli przemówienie Churchilla:

Rodoak I: — Sam słuchałem wyraznie powiedział: Niewiele jest cnot, którychby Polacy nie posiadali, ale jest i mało błędów, którychby Polacy nie popełnili!

Rodoak II: — Nic podobnego, Churchill powiedział: "Polacy posiadają cilly — fifty cnot i zalet".

Rodoak III: — W dzisiejszych czasach to nie jest tak źle...

Rodoak IV: — To jest fatalne, że każda gazeta angielska inaczej pisze...

USPRAWIEDLIWIENIE

W miejscowości Peebles rada miejska uchwaliła, że Polacy mają opuścić miasto... Żołnierze polscy na mocną uchwale rady — odpowiedzieli bojkotem dancinów, barów i kin...

—Dlaczego bojkotujecie nasze kina, dancin, bary — zapytał miejscowy Szkot-właściciel restauracyjki.

—To rewanz za uchwale rady!

—Rozumiem, ale co zwinili "fish and chips"...

W DNIU ŻYCIESTWA NAD JAPONIĄ

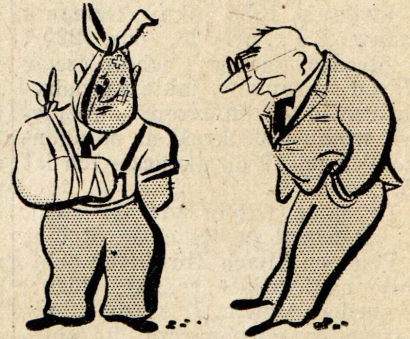
Mówią, że w czasie "V-day" w Londynie — "gejsze" uliczne były rozrywane przez żołnierzy... amerykańskich...

PRZY BRIDŻU

—Gra pan dzisiaj panie poruczniku jak noga stołowa. Co na to wpłynęło??...

—Prawdopodobnie ostatni mój awans na podporucznika czasu wojny...

POSTĘP CZASU



—Co się panu stało?

—Nieszczęście! żona chciała mi rozbić atomy w głowie!...

SPIS RZECZY:

Aleksander Janowski: Próba wytrzymałości. — Andrzej Wart: Polski myśliwiec /litografia/. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Greta Nowakowa: Pierwsze godziny. — Józefa Radziwińska: Z wierszy powstańców /Ojczyzna, Wicher wolności/. — Zbigniew Jordan: Rok temu pod Chambois. — O.R.P. "Ślajak" na Morzu Śródziemnym /Leopold Milanowski: Senior Officer. Zygmunt Szembek: Jeden patrol/. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Skrzynka pocztowa. — Tony: Werinajsek. — Fotografie. — Mapa.

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?
ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25